ROK I. SIERPIEŃ TOM II.





DZWONEK Częstochowski

PISMO MIESIĘCZNE

ILLUSTROWANE

POD REDAKCJĄ

KSIĘDZA JÓZEFA ADAMCZYKA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą (dom Proszowskiego)
W Warszawie Skład Główny: Ulica Złota Nr. 56A m. 36

ROK I. SIERPIEŃ TOM II.

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: pod Jasną-Górą (dom Proszowskiego)
W Warszawie Skład Główny: Ulica Złota Nr. 56A m. 36

DRUK WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA AKCYJNEGO
ARTYSTYCZNO-WYDAWNICZEGO.

1901

Дозволено цензурою.
Варшава 27 іюля 1901 г.

Prenumerata „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO“ wynosi:

W Częstochowie:		Z przesyłką pocztową:	
rocznie	Rs. 3 kop. —	rocznie	Rs. 4 —
półrocznie . . .	„ 1 „ 50	półrocznie	„ 2 —
kwartalnie . . .	„ — „ 75	kwartalnie	„ 1 —

W Austryi:		W Niemczech:	
rocznie	guldenów 6 —	rocznie	marek 10 —
półrocznie . . .	„ 3 —	półrocznie	„ 5 —

Cena ogłoszeń w „DZWONKU CZĘSTOCHOWSKIM“:

Za zamieszczone na całej	stronicy	rs. 12 —
„ „ na połowie	„	„ 8 —
„ „ na czwartej części	„	„ 5 —

Za wiersz zwykłego ogłoszenia kop. 75.

LIST ZWROTNY

Do Administracyi „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO”

w CZĘSTOCHOWIE, pod Jasną-Górą, dom Proszowskiego.

Załączam przy niniejszym na „Dzwonek Częstochowski”

rs........................*kop.*..........

za czas od dnia ....*do dnia*....................................

ADRES:

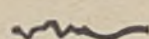
Imię i Nazwisko..

Miejsce zamieszkania ....

Stacya, z której odbierane są Gazety...

Gubernia..

Treść tomu II.



ILLUSTRACYE:





NAJŚWIĘTSZA MARYA PANNA GIDELSKA.

Najświętsza Panna Marya Gidelska.

I

Każdy błąd przeciwko Wierze Świętej, wszelka herezya i kacerstwo, pojawiające się w Kościele, przywodzą nam na myśl przypowieść Chrystusa Pana o owym gospodarzu, który na roli swej posiał nasienie dobre, a gdy odszedł i słudzy jego zasnęli, zły człowiek wśród ziarna wyborowego posiał kąkolu. Zdziwili się słudzy, ujrzawszy wśród wschodzącej pszenicy kiełkujący kąkol i pytają naiwnie: „Panie, ażaliś nie posiał na roli ziarna dobrego? skąd pośród niego kąkol widzimy?'' czem dowodzą, że własnej nie rozumieli winy, że zanieczyszczenie niwy kąkolem nie z innej powstało przyczyny, jak tylko z braku czuwania z ich strony. Jeśli pojedyńczy błąd, pojedyńcza herezya stawia przed oczami naszemi oną przypowieść, to stokroć silniej rysuje się w umyśle naszym jej potęga i znaczenie, gdy choćby nawet lekko i pobieżnie potrącimy o wiek XIV i XV dziejów Kościoła Świętego. W tym bowiem czasie Wiklef z Husem, rzuciwszy ziarno błędu w umysły i serca ludzkie, spowodowali nietylko wzejście kąkolu na niwie Chrystusa, ale przez długi sen i brak czuwania ze strony sług Zbawiciela przygłuszyli prawie prawdziwe ziarno ewangeliczne. W winnicy ogrodzonej, okopanej i zasadzonej ręką Wielkich Sług Bożych, Franciszka z Assyżu i Dominika, w wieku XV liczne herezye, pomiędzy któremi prym trzyma Luter z Kalwinem, straszną pustkę sprawiły. Jak niegdyś wczasie potopu woda zalała ziemię, tak w wieku XV błędy heretyckie zalały umysły i serca ludzkie. Jak za czasów Lota spłonęła Sodoma i Gomora dla występków swoich, tak w wieku XV ludy Europy zachodniej, rozgorzawszy ogniem nienawiści, przez lat siedmdziesiąt niszczyły się mordem i pożogą. Jakież straszne skutki posiewu złego człowieka, jak niepowetowane następstwa opieszałości!...

Któż bowiem pozna dzieci Chrystusowe w owych zaciekłych wieśniakach, prowadzących zawziętą walkę z panami swymi i w owych panach, mordujących bez litości poddanych swoich? Wojna chłopska w Niemczech, której ofiarą padło tysiące ludu i szlachty, tysiące poburzonych kościołów i klasztorów, zgliszcza miast, pustek całych krajów, cóż to za smutny stan ówczesnego Kościoła katolickiego? A przyczyną tegoż obojętność wielu na głos Oblubieńca swego, Chrystusa, Który do nich, jak niegdyś oblubieniec do oblubienicy swojej w „Pieśniach nad pieśniami“ się odzywał: „Otwórz mi, siostro moja, przyjaciółko moja, gołębico moja, niepokalana moja: boć głowa moja pełna jest rosy, a kędzierze moje—kropli nocnych.'' Jakoby chciał powiedzieć: „jako nienocujący w domu, ale pod gołem niebem, drży od zimna, chłodem rosy przejęty, tak ja drżę pode drzwiami serc waszych, przejęty chłodem zobojętniałych serc i zbłąkanych umysłów.“ Lecz nie usłuchali głosu Boga swego kołaczącego do nich i nie zapobiegli burzy, która choć już czterysta lat blizko, jak nad Kościołem szalała, pozostawiła ślady, których nawet tak długi przeciąg czasu zagładzić w zupełności nie potrafił. Burza ta, przechodząc nad Europą zachodnią, zawadziła i o kraj nasz także. Luter z Kalwinem i u nas mieli wielu zwolenników, szczególniej między wielkimi panami i szlachtą, tak, że wiarę katolicką, zwano wiarą chłopów, a luterską panów. Pomimo to jednak nie było u nas bratobójczej wojny, nie podniósł brat na brata ręki z tego powodu. Wiara luterska nie wzięła góry nad katolicką, nie ziarno ewangeliczne przez kąkol, ale kąkol przez ziarno ewangeliczne został u nas przygłuszony. Każdy z historyków inną tego podaje przyczynę, my zaś, ludzie prostej wiary, widzimy w tem dowód szczególniejszej miłości i opieki Matki Najświętszej ku narodowi naszemu; na rok bowiem przed wybuchem herezyi Lutra, Kalwina i wielu innych — spodobało się Bogu zesłać ziemi naszej dar nieoceniony. Tutaj niech mi wolno będzie kraj nasz z Ziemią Obiecaną porównać, jak bowiem w tym czasie, kiedy poganizm doszedł do najwyższego szczytu i znaczenia, w kamiennym żłobeczku ujrzał świat Zbawiciela, tak kiedy wrzenie umysłów przy końcu wieku XIV i XV doszło do najwyższego stopnia, nasze, że się tak wyrażę, Betleem, uboga wioska Gidle, znajdująca się wówczas w archidyecezyi gnieźnieńskiej, województwie sieradzkiem, powiecie radomskim, a dziś w dycezyi kujawsko-kaliskiej, gubernii piotrkowskiej, powiecie noworadomskim, ukazała narodowi cudowną figurkę kamienną Matki Najświętszej z Dzieciątkiem umieszczoną w dużym kamieniu, mającym kształt kielicha. Jak z ukazaniem się jutrzenki znikają cienie nocy, tak cudownie ukazująca się Najświętsza Marya Panna rozprasza ciemności umysłów. Jak promienie słońca potęgują życie i światło, tak wieści o cudownem objawieniu się Matki

Najświętszej i o licznych za Jej przyczyną doznawanych łaskach, ożywiają wiarę i wracają niejako życie duchowe krajowi naszemu. W jaki zaś sposób objawić się raczyła Matka Najświętsza w ubogich Gidlach, zaraz opowiemy.

W roku pańskim 1516, przed pierwszą niedzielą maja, wyjeżdża w pole wczesnym rankiem kmieć gidelski Jan Czeczek. Zaledwie zapuścił pług w ziemię, a orał na tem miejscu, gdzie dziś stoi kaplica Matki Najświętszej w Gidlach, aż tu wołki, zamiast ciągnąć pług, poklękały. Zdziwiony Czeczek podbiega ku nim i widzi kamień w kształcie kielicha, na którym spoczywa figurka Matki Najświętszej wielkości dłoni. Widząc w tem jawny cud Boży, klęka i Czeczek, a oddawszy cześć Królowej Nieba, zabiera ową figurkę i nie mówiąc nic nikomu o tem, chowa ją w swym domu w skrzyni, przykrywszy ubraniem.

Nie zrozumiał ów kmieć woli Królowej Niebios, boć nie miał być w ukryciu ten dar niebieski. Nowym cudem przestrzega Marya Czeczka, bo ilekroć razy człowiek ten otwiera do skrzyni, figurka, zawsze, choć była na spodzie umieszczona, znajduje się na wierzchu. Lecz on i teraz nie pojmuje zamiarów Bożych, to też Marya, chcąc wykazać Czeczkowi jego zaślepienie na duchu, odbiera wzrok nietylko jemu samemu, ale i wszystkim jego domownikom. Miłosierni ludzie, widząc Czeczków w takiem nieszczęściu, dają im kobietę pobożną, któraby dotkniętych ślepotą opatrywała. Niewiasta, otwierając skrzynię, spostrzegła na wierzchu figurkę Matki Najświętszej, dziwi się, skądby się tutaj znalazła, zapytuje Czeczka i od niego dowiaduje się o cudownem objawieniu, jakie miał na polu. Zrozumiała niewiasta, że pozbawienie wzroku domu całego jest karą za lekceważenie sobie tak cudownego zdarzenia, napomina Czeczka, a sama biegnie do ówczesnego plebana gidelskiego, Piotra Wołpkaja, donosząc mu szczegółowo o niezwykłem zdarzeniu. Pleban z procesyą udaje się do domu Czeczka, otwiera skrzynię, a znalazłszy figurkę Matki Bożej, bierze Ją stamtąd, przenosi do kościoła parafialnego, zbudowanego pod wezwaniem Świętej Maryi Magdaleny, i dla większego bezpieczeństwa chowa w cyboryum obok Najświętszego Sakramentu. Nie zrozumiał i on woli Maryi, która chciała być czczoną na tem miejscu, gdzie znaleziono cudownie Jej figurkę, to też w krótkim czasie wielu ludzi różnego wieku i stanu widywać poczęło cudowną jasność na tem miejscu, gdzie Czeczek figurkę wyorał.

Wieść o tem, szybko rozchodząc się, dochodzi i do księdza proboszcza. Ten nie chce dać temu wiary, będąc przekonany, że dobrze zamknął figurkę w tabernakulum, skąd niktby się nie odważył przenosić Ją na inne miejsce. Biegnie do kościoła, otwiera tabernakulum, a nie znalazłszy figurki, śpieszy na miejsce, gdzie ludzie widywali jasność cudowną i tu dopiero figurkę znajduje. Zrozumiał, że tu chce być

czczoną Matka Najświętsza, nie zabiera więc figurki napowrót do kościoła, ale, zapowiedziawszy na dzień oznaczony nabożeństwo, zaprasza sąsiednich kapłanów i w ich asystencyi, jako i w asystencyi Adama Gidzielskiego, ówczesnego dziedzica Gidel, i okolicznej szlachty, na czele licznie zebranego ludu idzie na miejsce znalezienia i tam przy śpiewach pobożnych i modłach kościelnych w słupie, tymczasowo wystawionym, cudowną figurkę umieszcza, a Adam Gidzielski dla straży cudownej figurki wznosi obok mały domek drewniany. W tym słupie cudowna figurka pozostawała lat kilkanaście, dopóki nie została przeniesiona do drewnianej kapliczki, którą zbudował Marcin Gidzielski, syn Adama, zobowiązawszy się do tego ślubem z przyczyn następujących. Kiedy bawił na Szlązku, niedaleko Wrocławia, posądzony o zabójstwo, spełnione na osobie Niemca przez niejakiego Smigielskiego, dla podobieństwa nazwiska został pojmany, za zabójcę poczytany i osadzony w więzieniu. Nie spodziewając się żadnej pomocy od ludzi, polecił się cudownej opiece Matki Bożej w Gidlach, ślubując, że jeżeli z więzienia zostanie uwolniony i ujdzie niechybnej śmierci, wystawi w Gidlach kościołek, czego też w krótce, wyszedłszy z więzienia i powróciwszy do domu, dokonał.

Przez kilka lat dziesiątków mieszkała Nieba Królowa w tym nieodpowiednim dla siebie przytułku, a choć lud z dalekich stron przychodził szukać tu pociechy i doznawał wielu łask Bożych i cudów za przyczyną Maryi, nikt nie pomyślał o zbudowaniu nowego dla Maryi przytułku, a nawet nie poprawiono zbudowanego przez Marcina Gidzielskiego kościołka, który tym sposobem coraz bardziej chylił się ku upadkowi. Dopiero w sto lat prawie po cudownem objawieniu, Anna z Rusocic Dąbrowska, wdowa po kasztelanie wieluńskim, dziedziczka Gidel, niewiasta prawdziwie pobożna, wzniosła własnym kosztem murowaną kaplicę, w miejscu dawniejszej drewnianej i w niej umieściła Wizerunek Matki Najświętszej. Nie poprzestała na tem, ale pragnąc, by na miejscu cudownem trwała ciągle chwała Boża, oraz by Maryi nie zbywało na stałych sługach, którzyby się tem miejscem opiekowali, przy pomocy Stanisława Stobieckiego z Kłomnic, podstolego sieradzkiego, sprowadza w roku 1615 z Krakowa Ojców Dominikanów i im kaplicę wraz z Cudownym Wizerunkiem oddaje pod zarząd i opiekę. Fundacyą tę wraz z zapisem na utrzymanie klasztoru, sporządzoną w Piotrkowie, potwierdził arcybiskup gnieźnieński Wojciech Baranowski, za zgodą prowincyonała Jana z Łęczny, doktora Pisma Świętego.

Ojcowie Dominikanie, wziąwszy pod swoją pieczę ten drogi skarb ziemi naszej, postarali się przedewszystkiem o wiarogodne opisanie

cudownego objawienia się w Gidlach Matki Najświętszej i cudów doznanych za Jej przyczyną do czasu ich przybycia.

W tym celu przez władzę duchowną wyznaczeni zostali: ksiądz Skierniewita, officyał łowicki, i ks. Wojciech Kłotny, proboszcz piotrkowski, kanonik gnieźnieński, którzy, zbadawszy pod przysięgą najstarszego wiekiem wójta gidelskiego nazwiskiem Peryga, liczącego przeszło lat 80, oraz Piotra Gidzielskiego, zadecydowali, iż niezbędnym jest stały delegat apostolski, którыby w dalszym ciągu rzecz tę badał pod przysięgą na miejscu. Pierwszym takim delegatem był ks. Mikołaj Rajski, który przez pewien przeciąg czasu stale zamieszkiwał w Gidlach i czynności swoje bardzo systematycznie prowadził, co możemy wnosić stąd, że każde zeznanie o zdarzeniu cudownem swoim własnoręcznym i podpisem świadków oraz pieczęcią notaryalną stwierdził. Nie poprzestając na zeznaniach poczynionych na pierwszej komisyi, oraz chcąc się przekonać, czyli późniejsze zeznania nie będą w sprzeczności z poprzedniemi, zawezwał wiele osób, nietylko z Gidel, ale i z okolicy. Szczególniej byli badani: Jan Grzegorzek, wyżej wspomniany Marcin Peryga i Jan Kotolski, malarz, którzy wszystkie poprzednie zeznania stwierdzili przysięgą.—Prócz tego Marcin Peryga, dla większego dowodu, przyprowadził żyjącą jeszcze swoją matkę, liczącą lat sto kilkanaście. Staruszka ze łzami w oczach, w wielkiej wierze i pokorze, zeznała w obecności Notaryusza Apostolskiego, zgromadzenia zakonnego i wielu osób to, na co się patrzyła i czemu była obecną — W dalszym ciągu śledztwa wzywano z różnych i dalekich okolic osoby do tego potrzebne i każde zeznanie, przez nie uczynione, przysięgą stwierdzone było. Takich cudów, jakie Bóg za przyczyną Maryi zdziałał na tem miejscu, od czasu znalezienia świętej figurki aż do wprowadzenia Dominikanów, w akcie urzędowym zapisanych za komisaryatu Mikołaja Rajskiego, jest przeszło trzydzieści, nie licząc tych, które dla braku świadków i z powodu śmierci osób udarowanych cudem, zaprzysiężone być nie mogły.

Za przybyciem do Gidel O.O. Dominikanów Marya, wywdzięczając się niejako za nieustające nabożeństwo i chwałę, jaką na tem miejscu odbierała, tem liczniejszemi lud gromadzący się tutaj obdarzała łaskami. Tu kilkunastu umarłych cudownie zostało wskrzeszonych, tu kilkudziesięciu ślepych wzrok otrzymało; inni, w niebezbiecznych i nieuleczalnych zostając chorobach, opuszczeni od lekarzy, bez żadnej nadziei wyzdrowienia, ofiarowani do cudownego miejsca, przychodzili do zdrowia; dotknięci kalectwem, niemocą, odzyskiwali siły i zdrowie. Że Bóg dobry za przyczyną swej Matki Najświętszej, która sobie na tem miejscu upodobała, wiele świadczył dobrodziejstw, wiele działał cudów, na korzyść wierzącego ludu, dowodem tego są liczne wota przez pobożnych składane, jako znak wdzięczności za doznane cuda i odebranie łaski.

A ileż było takich cudów, o których nikt nie wie? Ile było nieszczęśliwych, strapionych, zrozpaczonych, co tu odebrali pociechę, znaleźli osłodę i pokój? Nikt nie opowie i tych łez wdzięczności wylanych u stopni ołtarza Maryi! Niemymi, lecz wymownymi świadkami są zimne marmury i posadzki, tak często łzami skrapiane. Z pomiędzy wielu cudów, opisanych w książce pod tytułem „Skarb wielki Województwa Sieradzkiego,“ dowodzących szczególniejszego miłosierdzia Bożego i opieki Maryi na tem miejscu, przytaczamy jeden, którego pamiątka rok rocznie po dziś dzień się ponawia.

Po długich wojnach i ciężkim głodzie w roku 1662, za panowania Jana Kazimierza, w całym kraju wybuchło morowe powietrze. Tysiące ludzi marło codziennie. Gdzież się udać o pomoc, ratunek? Strapiony lud zwraca swe oczy spłakane i serca skołatane ku Matuchnie Gidelskiej; mieszkańcy Radomska, Pławna, miast i wiosek dalszych i bliższych spieszą procesyonalnie do Gidel, a padłszy na kolana przed cudownym wizerunkiem Maryi, żebrzą zmiłowania Bożego. I nie zawiedli się w swoich nadziejach, doznali widocznego cudu, bo Bóg dobry za przyczyną Maryi odwrócił tę straszną klęskę i pomór ustał natychmiast. Jak była wielka owa klęska i widoczny cud, który ją usunął, świadczy nieustająca po dziś dzień wdzięczność miasta Radomska i całej okolicy, której mieszkańcy corocznie przychodzą z uroczystą procesyą do Gidel, aby za nią nieustannie Maryi dziękować.

Moglibyśmy przeczytać tysiące dowodów, zdarzeń cudownych i łask na tem miejscu otrzymanych. Czyż jednak ten jeden, o którym na początku tego rozdziału ogólnikowo wspomnieliśmy, za wszystkie nam nie wystarczy? Wyznawcy Lutra i Kalwina, liczący wielu zwolenników tak wśród wielkich panów, szlachty, jako też i mieszczan, wzgardziwszy powagą Kościoła Świętego, wołają bluźnierczo: „Nie masz Maryi Niepokalanej, ale tylko zwyczajna niewiasta — matka, niemasz cudów, niemasz Świętych”—ciągną w swoją stronę nietylko nauką, ale i złym przykładem lud prosty. Gdzie kaznodzieja, któryby prostaczków prawdy nauczył — zbłąkanych nibyto mędrców nawrócił? Próżna obawa. Po co nam kaznodzieja? „Niebo nam śle naszej wiary dowód niezbity”—rzekną prostaczkowie. Pójdźcie do Gidel!... Czy tam nie króluje Matka Jezusa Ukochana, której świętości zaprzeczacie? Mówicie, że niema cudów, patrzcie! — Oto na skinienie tej Maryi Gidelskiej nawet umarli zmartwychwstają. Czyż patrząc na to wszystko, nie będziecie musieli przyznać, że wiara nasza święta katolicka jest wiarą prawdziwą, jak to wyznali Żydzi, patrząc na składanie ofiar przez Eliasza proroka, bo chociaż całem sercem przylgnęli do bałwochwalstwa, to widząc cudowny ogień, spadający na ofiary z nieba, zawołać musieli: „Bóg Eliaszów jest Bogiem prawdziwym” Czyż więc nie jest cudem,

że wiara prostaczków zwyciężyła głowy mędrców, jak za czasów Apostolskich, czyż za ten cud nie powinniśmy być stokroć wdzięczni Matuchnie Gidelskiej, niż za uwolnienie od morowej zarazy? Jak wobec Eliasza wszyscy Żydzi przyznali, że Bóg jego jest Bogiem Izraela, tak każdy z naszych rodaków, chociażby najobojętniejszy, choćby się pod żadnym względem z nami nie zgadzał, z zapałem zawoła: „Chwała, chwała wiekuista Królowej Nieba i ziemi i Matce Maryi!”

Czemże zakończymy obecną wzmiankę naszą o Gidlach? Darujcie, czytelnicy, że wam za pobożnym księdzem Ambrożym Zagajowskim, Dominikaninie, który pisał na początku wieku XVIII o Matce Boskiej Gidelskiej powiemy, że narodzenie Zbawiciela, to odkupienie całego świata, a odjawienie się Matki Najświętszej w Gidlach, to nowe zbawienie narodu naszego od herezyi Lutra i Kalwina. A jakiemiż pięknemi porównaniami wykazuje podobieństwo między narodzeniem się Pana Jezusa w Betleem, a objawieniem się Maryi Najświętszej w Gidlach ksiądz Zagajowski! Doktorowie i faryzeusze, niepomni na proroctwa, oczekują Messyasza w osobie wielkiego wodza i pana, tymczasem On przychodzi w postaci malutkiej dzieciny, w kamiennym żłobku złożony; w wieku XV przewodnicy narodu oczekują nauczycieli i mędrców z zachodu, upatrując w ich naukach dla kraju zbawienie, gdy tymczasem ratunek przybywa w malutkiem wizerunku Matki Najświętszej, złożonym w wydrążonym kamieniu, jakby Jezus w żłobku. Nauczyciele zakonu sądzą, że Mesyasz ukaże się w Jerozolimie, lub przynajmiej w któremkolwiek z wielkich miast świata, gdy tymczasem On rodzi się w lichem Betleem, w stajence poza miastem; tak też i Marya Gidelska nie objawa się w wielkiem mieście, ale w lichej wiosczynie, wśród lasów i moczarów rzeki Warty położonych, a nawet nie w wiosce, ale po za nią, na polu. Książęta ludu sądzili, że wśród siebie ujrzą najprzód Mesyasza, gdy tymczasem pierwsi witają Go pastuszkowie. Tak też posąg Boga-Rodzicy Gidelskiej nie możny pan znajduje, ale kmiotek gidelski, Jan Czeczek. Nad szopką betleemską jasność niebieska, świeci taż sama i nad polem Czeczka. Wół z osłem przed Panem najpierw klękają — Maryą Gidelską wołki Czeczka najpierwsze adorują. Do Jezusa-Dzieciny w trzynastym dniu po narodzeniu Trzej Królowie z darami przybywają, do Maryi Gidelskiej spieszą królowie nasi: Władysław IV, Jan Kazimierz, Michał Wiśniowiecki i August II, liczne wota na tem świętem miejscu składając. Jezusa-Dziecinę przy ofiarowaniu w kościele spotykają Symeon i Anna, prorokując, iż Ten powstał na zbawienie i upadek wielu, tak też i Panienkę Gidelską spotykają i przyjmują do zbudowanej przez siebie kaplicy Stanisław Stobiecki i Anna Dąbrowska; jest Ona tam na upadek dla niechcących odczuć dobroci Jej miłościwego serca, karząc ich, ale mi-

łosiernie, tak, jak ukarała chwilową ślepotą Czeczka za to, że nie chciał zrozumieć Jej woli, mieszka zaś w Gidlach ku powstaniu tych wszystkich, którzy z ufnością do Niej się zwracają. Jezusa-Dziecinę przenoszą Rodzice z Betleem do Jeruzalem, z Jeruzalem do Egiptu, znów do Nazaret, i Matuchna Gidelska nie zamieszkała odrazu na tem miejscu, gdzie pragnęła, ale przenoszoną była z domu Czeczka do kościoła, z kościoła znów na pole; tam najpierw na słupie umieszczona, później w drewnianej kapliczce, a wreszcie w świątyni, w której się do dnia dzisiejszego znajduje. Wiele jeszcze w tym rodzaju porównań przytacza ów pobożny kapłan w swej książce o Matce Boskiej Gidelskiej, wśród których o jednem tylko wspomnimy. Chrystus, przybywszy do Nazaret do trzydziestego roku życia swojego był posłuszny rodzicom swoim, pomimo to, iż był Bogiem prawdziwym, tak też i Marya, zamieszkawszy w ustroniu Gidelskiem, pomimo to, iż jest Matką Boga i Królową Nieba i ziemi, stała się nam grzesznym posłuszną, bo o cokolwiek Ją prosimy, jako dobra Matka odmówić nam tego nie może. Kogóż z nas nie zadziwi, a zarazem nie rozraduje to ostatnie porównanie? Matka Syna Bożego nam posłuszna! Królowa Nieba nietylko wysłuchuje naszych próśb, ale odczuwa nasze pragnienia! Idźmyż więc do Niej, choćbyśmy byli na duchu umarli, bo Ona wskrzeszała i umarłych; śpieszmy, choćbyśmy i oślepli moralnie—tam przejrzymy; wszelka bieda i nędza, boleść i smutek niech zdąża do Matuchny Gidelskiej, a choćbyś nawet niejeden nie był godzien przystąpić do tej Matki Najświętszej, idź jednak śmiało, a choćbyś przekroczywszy próg kaplicy i upadłszy na twarz, nie był w stanie wymówić do Niej ani słowa, ufaj jednak, że wysłuchanym będziesz, bo owa garstka Dominikanów, przez trzy wieki sług wiernych Matki Najświętszej, przemówi za tobą do swej Królowej, do Której oręduje od pierwszego momentu przybycia swego do Gidel, aż do dnia dzisiejszego, dniem i nocą wołając:

Patronko nasza, coś to ustronie
Wsławiła Swoją łaską i cudem,
Miłego Syna proś za tym ludem,
Co tu do Ciebie wyciąga dłonie!..

ks. E. M.

(Dalszy ciąg nastąpi).





WNIEBOWZIĘCIE NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY.

Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny.

W dniu Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny spełniły się Jej słowa prorocze: *odtąd błogosławioną zwać mię będą wszystkie pokolenia.* W całym świecie katolickim dziś rozbrzmiewa chwała Tej, która niegdyś w ubóstwie i zapomnieniu żyła, która w pokorze zwała się sama „*służebnicą Pańską.*“ Na Wschodzie i Zachodzie, wśród lodowatych gór północy i pod piekącymi promieniami południa, — we wspaniałych świątyniach i ubogich chatkach wiejskich,—wielkiem jest imię Maryi, wszędzie głoszą chwałę Matki Zbawiciela. Jej wywyższenie, ta Jej chwała u wszystkich narodów, rozpoczyna się właśnie z chwilą Jej zaśnięcia, z chwilą Jej wstąpienia do Nieba! *Odtąd błogosławioną zwać mię będą wszystkie narody.*

Marya, jako córka Adama, powinna była umrzeć. Chociaż plama grzechu pierworodnego Jej nie dotknęła,—to jednak nie mogła Ona żądać przywileju z prawa ogłoszonego wszystkim ludziom. Przeciwnie: umierając, Marya stała się podobniejszą Swemu Boskiemu Synowi, złożyła Bogu największą z życia swego ofiarę, a przykładem osłodziła ludziom gorzką chwilę śmierci.

Marya pragnęła śmierci. Ludzie zazwyczaj drżą na wspomnienie o śmierci, bo patrzą na grób, jako na przepaść, w której pogrzebane zostaną wszystkie ich życia nadzieje. Marya zaś widziała w śmierci anioła, który rozkuje kajdany, wiążące Ją z ziemią. Nie tak żeglarz wyczekuje niecierpliwie pomyślnego wiatru, który łódź jego zapędzi ku brzegom ojczystym, jak Marya wyglądała wieczności. I gdy zjawił się Anioł w Efezie, by Jej oznajmić, że nadszedł czas przejścia z tego świata,—zastał Maryą przygotowaną i z prawdziwą radością tę wieść przyjmującą. Dlatego śmierć Najświętszej Panienki była dla Niej słodką i pełną radości chwilą

I my często życzymy sobie śmierci, lecz nasze pragnienie różnem jest od pragnienia Maryi, i dlatego ostatnia nasza godzina nie jest pełna słodyczy i spokoju. My pragniemy czasami śmierci wskutek zniechęcenia do życia, rozpaczy, nie myśląc wcale o życiu pozagrobowem. My chcemy przez śmierć położyć koniec naszym cierpieniom, nie dbając o to, by przez cierpienia tu na ziemi znoszone wysłużyć sobie Niebo. Takie pragnienie śmierci zwiększa jeszcze nasze udręczenie, bo gdy się śmierć przybliży, trumna, która nam się wydawała miejscem spoczynku—przerazi nas.

Prawdziwy zaś chrześcijanin powinien pragnąć śmierci, nie w tym celu, aby sobie skrócić cierpienia, lecz aby dojść do życia wiecznego i do Boga, który stanowi prawdziwe i jedyne szczęście człowieka.

Ludzie wiele cierpią przy śmierci z powodu rozłąki z otoczeniem. Umrzeć—znaczy opuścić to wszystko, co człowiek zgromadził z trudem w ciągu całego życia. Umrzeć jest to porzucić na zawsze swych przyjaciół, którzy z współczuciem otaczają łoże boleści, porzucić ojca, żonę lub dzieci, których się czule kochało, bez nadziei ujrzenia ich ponownie.—Marya nie zaznała goryczy z powodu rozłąki: Jej śmierć łączyła Ją na zawsze z Ukochanym Synem, do którego całem sercem tęskniła. Śmierć Przeczystej Dziewicy wiąże na nowo dwa serca stworzone jedno dla drugiego, powraca Matkę Synowi, zrywa pęta wygnania.

Dlatego w chwili przejścia do nowego życia dziwna zmiana dokonywa się w Postaci Matki Bożej: Czoło, na którem oddawna spoczęły gęste chmury tęsknoty, rozpogodziło się nagle, jakby pod tchnieniem ożywszych słońca promieni. Jej oczy, znużone ziemskimi widokami, ustawicznie zwracają się ku Niebu, aby zaczerpnąć czystego światła, ożywiają się. Na całem obliczu Przeczystej Dziewicy rozlewa się radość, jaśnieje ono odbiciem chwały niebieskiej, goreje miłością ku Bogu!

— „Nie płaczcie, uspokaja nas Marya, cieszcie się raczej, że idę do Boga, którego całą duszą kocham. Oto Syn mój wzywa mię... Słyszę głos Jego, dostrzegam jasność oblicza Jego... Idę złączyć się z Nim i żyć przez całe wieki dla Niego!



Modlitwa nawróconego grzesznika
do Matki Bożej.

O, Matko Boga, ja Tobie wszystko jestem winien! Ty, o, Pani, tylokrotnie nawoływałaś mnie, jako owcę zbłąkaną w pustyni, Ty mię tak troskliwie szukałaś, chcąc mię powrócić Ojcu, Panu i Bogu mojemu! Tobie, o, Matko moja, zawdzięczam ten moment niewypowiedzianego szczęścia, gdy jak nędzny marnotrawny syn ocuciłem się w ramionach najlepszego z Ojców i uczułem Jego tkliwe, serdeczne uściski! Tobie, o, Pani, ja dzisiaj zawdzięczam te dni pełne szczęścia i zadowolenia jakie mi upłynęły w domu odnalezionege Ojca! Tobie winien jestem ten spokój, ów spoczynek na łonie Ojca, owe chwile najczystsze, owe godziny najszczęśliwsze i najwonniejsze w całem życiu mojem!...

O, Pani, o, Dobrodziejko moja! któryż język ziemski pożyczy mi wyrażeń i dźwięków zlewających się w miłą harmonię słów pełnych miłości, któremibym Cię mógł należycie uczcić! Niestety, ani szum drzew leśnych, ni ruch fal morskich, ani cichy szmer dolin nie są wstanie jakby należało przemówić. Słońce w całym swym blasku nie ma tak wspaniałego wyrazu,—najpiękniejsza, gwiazdzista noc nie udzieli mi tak cudnej melodyi, którąby odpowiadała Twej wielkości i chwale, o, Matko! Samo tylko Niebo może mi zesłać święte i natchnione hymny, których tak pragnę ku Twej czci! Ziemia nie jest zdolna, ziemia nigdy nie uczci Cię o, Pani, należycie. Dlatego tak często, klęcząc przed Tobą, jęczałem i wzdychałem, nie mogąc się zdobyć na słowo odpowiedniego Ci uwielbienia. Przebacz mi więc, o, Matko, przebacz mej nieudolności, przyjm za uczynek szczere moje chęci, spójrz na serce moje skruszone i upokorzone, przyjmij je za swoje, nie wypuszczaj go z swej opieki, niech odtąd żyję tylko dla Ciebie i w Twojej oraz Twego Syna miłości. Amen.



Żywot Świętego Augustyna

BISKUPA I DOKTORA KOŚCIOŁA.

Różnemi drogami prowadzi Pan Bóg ludzi do Nieba. Byli Święci, o których świat za życia nie słyszał, bo wysłużyli sobie szczęście wieczne cichemi cnotami, spełnianemi w odosobnieniu od ludzi, lub w samotnym klasztorze. Lecz byli inni, ludzie uczeni, co nauką świat zadziwili i obok cnót i świętości życia, rozjaśniali prawdy Wiary Świętej, czyli stali się wielkimi nauczycielami w Kościele. Tych nazywamy powszechnie *doktorami* Kościoła. W liczbie 22 doktorów, uznanych przez Kościół Święty, jest i Święty Augustyn, biskup miasta Hippony, w Afryce.

Święty Augustyn urodził się w mieście Tagaście, w Afryce północnej, w roku 353, dnia 13 listopada. Ojciec jego, imieniem Patrycy, był poganinem, matka zaś, Monika — była chrześcijanką, dla wielkich cnót i świętości życia za Świętą przez Kościół po śmierci uznana i czczona. Ona swemi modłami wyjednała sobie u Boga tę łaskę, że mąż jej, choć za życia nie miał chęci przyjąć Chrztu Świętego, złożony śmiertelną chorobą, chętnie to uczynił.

Po śmierci męża zaczęła wszelkich środków używać Święta Monika, aby skłonić syna swego Augustyna do przyjęcia chrześcijaństwa, jednak niełatwo udało się jej tego dokonać. Augustyn bowiem, do ośmnastego roku życia oddawał się naukom, opartym na pogańskich mistrzach i zostawał pod ich wpływem. Wskutek takiego kierunku pogardzał nauką chrześcijańską i pomimo próśb i nalegań matki nie miał chęci czytać Pisma Świętego, z któregoby mógł zaczerpnąć znajomości prawd chrześcijańskich. Śmierć ojca i jego nawrócenie się do Chrystusa Pana przed śmiercią wstrząsnęło młodem sercem Augustyna,



ŚWIĘTY AUGUSTYN.
(obraz malowany przez Ojca Augustyna Jędrzejczyka)

jednak i tym razem oparł się temu natchnieniu, i górę wzięły nad niem pogańskie zasady.

Bóg, jak gospodarz ewangeliczny, powołuje do swej winnicy robotników w różnym czasie ich życia. Jednych wzywa od kolebki, daje im swoje łaski i uświęca ich,—innych w późniejszym czasie, a niekiedy nawet w starości. Stosownie do wyroków Bożych, niedocieczonych dla rozumu ludzkiego, i Święty Augustyn dopiero po długiem błąkaniu się wśród ciemności poganizmu miał dojść do światła wiary chrześcijańskiej i sam oświecać innych. Gdy po śmierci ojca zajął się nim bogaty krewny i wysłał go na nauki do miasta Kartaginy, — wszedł on, ośmnastoletni młodzieniec, w złe towarzystwo rówieśników—pogan i zaczął prowadzić życie występne. Do zepsucia cielesnego dołączył błędy manichejczyków, heretyków niejednokrotnie potępianych przez Kościół. Choć ustawicznie czuł się on niezadowolonym i niespokojnym, choć niejednokrotnie głos wewnętrzny nawoływał go, aby porzucił życie występne, a przyjął prawdę chrześcijańską,—przetrwał w tym stanie błędów i grzechów aż do 34 roku życia.

Tymczasem Święta Monika, znając grzeszne życie syna, razem z przestrogami macierzyńskiemi i nawoływaniem go do nawrócenia się ku Bogu, ścigała go ustawicznie gorącemi modłami i łzami. Ilekroć myśl jej pobiegła za tym jedynakiem, stojącym na krawędzi piekła, tylekroć głośnym wybuchała płaczem i błagała Niebo dlań o łaskę. Na takich modłach nie jedną spędziła noc bezsennie, nie jeden dzień przeszedł jej bez pokarmu. Niebo zdawało się być głuche na cierpienia i jęki matki.

Nareszcie gdy jednej nocy zmęczona zdrzemnęła się wśród modłów, Bóg jej we śnie oznajmił, że wysłuchane są jej modły, i wkrótce skutek osiągną. Ujrzała mianowicie we śnie jakąś poważną postać, która jej rzekła:

— Modlitwy twe doszły do tronu Bożego. Obejrzyj się, a ujrzysz syna tu, gdzie sama klęczysz.

I gdy się Święta obejrzała, spostrzegła syna obok siebie.

Zaraz przy pierwszem widzeniu opowiedziała o tem synowi. Chociaż Augustyn zrozumiał znaczenie tych słów tajemniczych, jednak nie dał tego poznać matce i nie przypuszczał, aby się wkrótce spełniły.

Tymczasem Monika podwoiła swe modły. Korzystając zaś z pobytu Augustyna w domu, — prosiła biskupa, aby częstemi rozmowami wpływał na nawrócenie syna. Gdy przed biskupem żaliła się pewnego razu, że Bóg tak długo od syna jej odwleka łaskę nawrócenia, tenże odrzekł z powagą:

— „Nie bój się, syn twój się nawróci; syn tylu łez zginąć nie może.”

Istotnie Święty Augustyn zadziwiał biskupa swemi odpowiedziami i zagadnieniami. Poznał stąd ten dostojnik kościoła jego umysł głęboki i stąd, pocieszając Monikę, twierdził, że taki wielki umysł musi przyjść kiedyś do prawdy.

Tymczasem Święty Augustyn, znużony bezcelowem i próżnem życiem, ścigany ustawicznie łzami i naleganiami matki, postanowił uciec daleko od domu. Zamieszkał przez czas krótki w Kartaginie, potem przeszedł do Rzymu, a wreszcie w 30 roku życia przeniósł się do Mediolanu we Włoszech, gdzie został mistrzem wymowy.

Było to zrządzeniem Opatrzności.

W mieście owem był podówczas biskupem Święty Ambroży, uczony pasterz i gorliwy kaznodzieja.

Święty ten biskup swoją piękną wymową pociągnął ku sobie poganina — Augustyna, który coraz więcej ceniąc Świętego Męża, za jego dar wymowy i mądrość, zawarł z nim wkrótce bliższą znajomość a z czasem nawet zaprzyjaźnił się.

Teraz coraz częściej wdawał się w dysputy już to z Świętym Ambrożym, już to z swymi dwoma przyjaciółmi, poganami, Alipijuszem i Nebrydyuszem. Choć spierał się z biskupem, choć prawdy chrześcijańskie w fałszywem oświetleniu przedstawiał swym przyjaciołom, czuł, że mówi wbrew swemu przekonaniu. Głos wewnętrzny, któremu opierał się ustawicznie, skłaniał go do przyznania słuszności prawdzie chrześcijańskiej.

Tymczasem łaska Boża coraz silniej do serca jego kołatała. Razu pewnego, gdy się zastanawiał nad życiem Ś-go Antoniego, w pustelni spędzonem, przyszła mu myśl, że Święty ten doszedł do tak wielkiej doskonałości jedynie przez to, że każdy z wielkich mężów dokonywał czynu heroicznego siłą woli i natychmiastowem wprowadzeniem w wykonanie dobrych natchnień i postanowień, które on zaniedbywał. Zawstydził się wobec tych myśli Augustyn i spostrzegłszy zbliżającego się przyjaciela, rzekł:

— Alipijuszu, dokądże to będziemy żyć według krwi i ciała: prostaczkowie niebo porywają, a my z naszą nauką gnuśniejemy! Do dzieła! Do pracy!

I żalawszy się gorzkiemi łzami przy rozważaniu przeszłego życia, w gorącej modlitwie wylewał swoje żale przed Bogiem.

— „Panie mój—wołał—dokądże zagniewanym na mnie będziesz? Dokądże będę odkładał moje nawrócenie ku Tobie? Dokąd będę powtarzał: jutro! jutro!? Dlaczegoż nie powiem... dzisiaj“?...

Po takich uwagach uczynił szczere postanowienie zerwać z życiem dawnem, wyrzec się poganizmu i błędów manihejskich—i służyć wiernie Chrystusowi do końca życia.

Po należytem przygotowaniu się przyjął Święty Augustyn Chrzest w r. 387, w dzień Wielkanocy.

Radość jego matki była ogromna. Bóg ją wysłuchał: odrodził jej syna, który tak długi czas zostawał w zgniliźnie zepsucia i błędów. Do końca życia dzięki składała za to Bogu!

Tak wszystkie chrześcijańskie matki winny ścigać swe dzieci wykolejone!

Łzy i modlitwa są to jedyne środki nawrócenia ze złej drogi zapamiętałych i zatwardziałych w grzechach dziatek. Głęboka ufność w Bogu, umartwienia i cierpienia, chociaż nie zaraz i nie wtedy, kiedy my chcemy, sprowadzą nieodzownie łaskę nawrócenia. Bóg nagrodzi obficie łzę cierpienia i ofiarę wszelką, bo jest sprawiedliwy!

Po Chrzcie Swięty Augustyn rozpoczął całkiem nowe życie.

Gdy matkę pogrzebał w rodzinnem mieście, Tagaście, — sam udał się w towarzystwie kilku przyjaciół na samotność i tam począł zgłębiać prawdy wiary, czytając i rozjaśniając Pismo Święte. Noce bezsennie spędzone na badaniu, posty i umartwienia, pogarda świata, miały być pokutą wynagradzającą Panu Bogu za grzeszną przeszłość przez dalsze całe życie.

Pod wpływem Ducha Świętego zbierane głębokie myśli i rozjaśniane prawdy wiary przelewał teraz na papier. Napisał Ś-ty Doktor wiele dzieł natchnionych. W niektórych z nich walczy przeciw heretykom: Donatystom, Manihejczykom, Aryanom i Pelagianom; w innych wykazuje całą niedorzeczność poganizmu i wartość chrześcijaństwa. Najpiękniejszem i najgłębszem z dzieł Świętego Augustyna jest pod tytułem: „*O Mieście Bożem.*“ *Miastem Bożem* nazywa Święty Doktor chrześcijaństwo, które człowieka uszczęśliwia na ziemi i do Boga prowadzi. Przeciwnie, miastem ziemskiem jest pogaństwo, które nigdy nie było w stanie ludzi uszczęśliwić, nad którem zły duch roztacza swoje panowanie.

Z samotni, blizko Tagasty położonej, wkrótce powołał Bóg Świętego Augustyna na szersze pole działalności. Gdy bowiem rozeszła się szeroka sława jego głębokiej wiedzy i daru wymowy, biskup Hippony, Waleryusz zawezwał go do siebie i wyświęciwszy na kapłana, polecił mu urząd nauczania.

Gdy świętość i sława Świętego Augustyna z dnia na dzień rosła, biskup Waleryusz, obawiając się, aby mu tego Świętego męża nie zabrano gdzieindziej na biskupstwo, jeszcze za życia postanowił go swoim następcą, i postarał się, aby za życia jego przyjął święcenia biskupie.

Po śmierci Waleryusza r. 395, Święty Augustyn został jednozgodnie przez lud i duchowieństwo wybranym na następcę jego biskupem Hipponeńskim.

Zostawszy biskupem, Święty podwoił swoją gorliwość i chwałę Bożą i pracę nad własnem udoskonaleniem. Z każdej sposobności korzystał, aby wykładać ludowi Pismo Święte i rozjaśniać prawdy wiary. Heretyków wyzywał na dyspusty, przemawiał na synodach do zebranych biskupów, zapalając wszystkich ogniem żarliwości. Z tego czasu wiele zostawił kazań i mów pisanych.

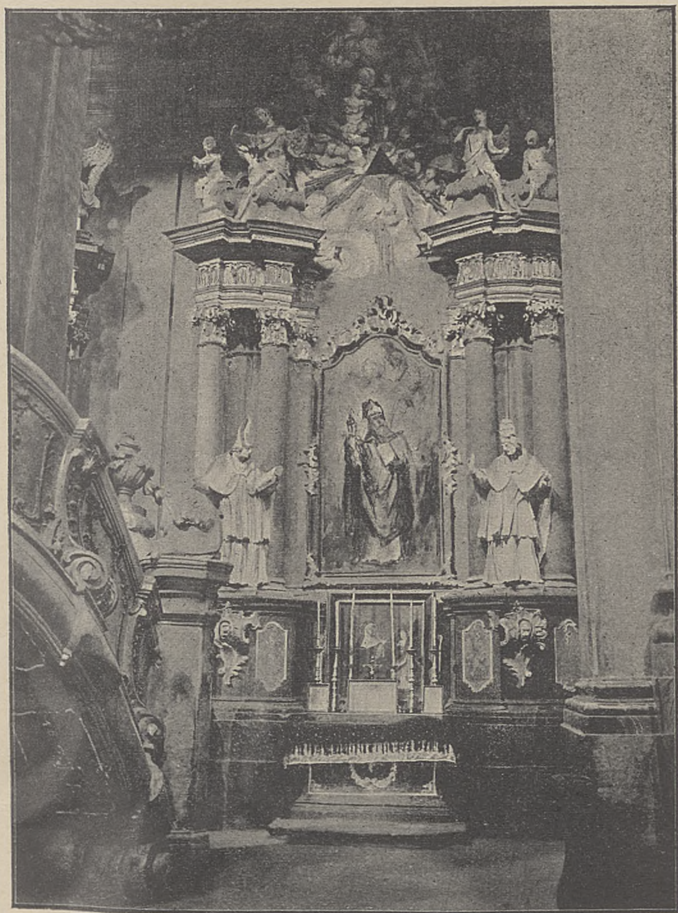
Aby pobudzić kapłanów do życia ascetycznego, i w tym celu odsunąć ich od świata i jego niebezpieczeństw, Święty Augustyn zachęca ich do wspólnego życia. Już w 391 roku zbudował on w ogrodzie, który otrzymał w darze od biskupa Waleryusza, dom, w którym umieścił duchownych pragnących prowadzić życie doskonalsze. Sam Święty biskup kierował nimi, przepisał im dzienny porządek pracy i ćwiczeń pobożnych. Tym sposobem był on pierwszym założycielem zakonu na Zachodzie.

Na Wschodzie przepisali regułę zakonnikom Święci Bazyli i Jan Chryzostom.

Te pierwsze przepisy oraz rady, podawane przez Świętego Augustyna, utworzyły *regułę* zakonną, znaną pod nazwą *reguły Świętego Augustyna.* Tej reguły ściśle przestrzegali kapłani zgromadzeni przez Świętego biskupa, którzy stąd wzięli nazwę *„kanoników regularnych Świętego Augustyna."*

Po śmierci Świętego, kiedy miasto Hippona podpadło pod panowanie obcego narodu Wandalów, kanonicy regularni przeszli do Europy; wielu z nich zostało biskupami, a uczeń wielkiego doktora Gelazyusz został papieżem w Rzymie. Roznieśli oni znajomość reguły Świętego Augustyna po całym Zachodzie, zakładali stowarzyszenia na wzór hipponeńskiego i tu zwali się przeważnie: *pustelnikami* albo *eremitami Świętego Augustyna.* Ponieważ ta reguła Swiętego była bardzo dobra, przeto papieże nadawali ją różnym zgromadzeniom zakonnym. W roku 1256 Aleksander IV połączył kilka zakonów w jeden i dał im tę regułę.

Tejże reguły przestrzegają i Ojcowie Paulini, czyli *Bracia Swiętego Pawła, pierwszego pustelnika.* Jakkolwiek wywodzą oni początek swego zakonu od Eliasza proroka, żywionego przez kruka na puszczy, następnie Elizeusza i Jana Chrzciciela, na puszczy żywot przez czas dłuższy wiodących, — a wreszcie od Świętego Pawła, który 98 lat przebył na puszczy (od r. 244) — to jednak pierwsi naśladowcy tych wielkich pustelników nie mieli reguły i żyli przeważnie osobno, w lasach i górach. Dopiero błogosławiony Euzebiusz, kanonik z Granu, idąc za radą Świętego Pawła z Akwinu, zgromadził kilku współbraci pustelników do jednego klasztoru zbudowanego na puszczy i dał im regułę Świętego Augustyna. W roku 1262 prosili OO. Paulini Stolicę Apostolską



Ołtarz Świętego Augustyna w kosciele Jasnogórskim.

o potwierdzenie ich zgromadzenia pod regułą Świętego Augustyna. Lecz dopiero w roku 1309 Klemens V tej łaski im udzielił.

Dlatego do dziś dnia Zakon Paulinów za szczególniejszych patronów ma Świętego Augustyna i Świętego Tomasza.

Święty Augustyn umarł 430 roku 28 sierpnia, w Hipponie. Zwłoki jego złożone zostały w grobach świątyni w temże grodzie.

Wczasie wojen z Wandalami, biskupi afrykańscy przenieśli zwłoki na wyspę Sardynię. Stąd znowu, król Longobardów, Luitprand wykupił je od niewiernych Saracenów na wagę złota i przeniósł uroczyście do miasta Pawii, we Włoszech, gdzie złożył je w kościele Świętego Pawła. Roku 1842, za pozwoleniem Papieża, znowu te święte szczątki wydobyte zostały i złożone w mieście *Bona*, w Afryce, dawniej Hipponie albo Hippo Regius, gdzie Święty Doktor był biskupem. Tam one do dziś dnia są czczone.

Ksiądz W. Bogacki.



Biskup chiński i jego uczeń.

Opowieść.

I.

Działo się to w Chinach, owym kraju dla chrześcijan zajadle wrogim, skąd nas od wieków dochodzą jęki udręczanych okrutnie kapłanów chrześcijańskich i tych krajowców, których oni oświecić w prawdziwej wierze zdołali.

W Chinach tedy obchodzono jedną z wielkich uroczystości: święto Foego, mędrca, uważanego przez Chińczyków za boga i odbierającego od nich cześć bałwochwalczą. Pośrodku ludnej wioski wznosiła się pyszna pagoda (świątynia), a przed jej drzwiami bonzowie (kapłani chińscy) uderzali w blachy metalowe, powyginane u brzegów, zwane tam-tamami i zastępujące nasze dzwony. Blachy wydawały ostre, krótkie, lecz donośne dźwięki, celem ich było zwabiać do świątyni jak największą liczbę pobożnych z ofiarami dla bożyszcza, więc z ryżem, mlekiem, owocami, kwiatami, ze zwojami pachnącego papieru, a przedewszystkiem z pieniędzmi. Przed wejściem do świątyni tłoczyło się mnóstwo fakirów, to jest ludzi oddających się ćwiczeniom, w ich mniemaniu, pobożnym, a będącym w rzeczy samej obłudą, dążącą do wyzyskiwania łatwowierności pogańskiej. Jedni z tych fakirów dźwigali ciężkie kajdany, które im w ciało wrastały; inni rozraniali sobie piersi ostrymi kamieniami; inni, uczyniwszy ślub, żeby nigdy nie spojrzeć w niebo, stali pochyleni, z oczyma wlepionemi w ziemię; byli i tacy, co wrzeszczeli w niebogłosy:

— Nie zapominajcie o jałmużnach i ofiarach! Nie zapominajcie, jeśli sobie dobrze życzycie! Pamiętajcie albowiem, że kto daje jałmuż-

nę słudze Foego, okupuje nią wszystkie swoje grzechy! Kto ryżem dzieli się z bonzą, uwalnia się od kar, czekających go w życiu przyszłem! Kto odda swój majątek przyjacielowi wielkiego bożka, ten kupi sobie dobry pasport na tamten świat!

Każdy musiał rzucić jakiś datek krzykaczom, bo inaczej stawali na drodze i formalnie odpychali od świątyni; dopiero zapłaciwszy haracz, wolno było wejść do pagody, upaść na kolana przed olbrzymich rozmiarów bałwanem, z wielkim brzuchem, wyłupiastemi ślepiami i obwisłym wąsem, ofiarować, co się przyniosło na ofiarę, spalić wonne kadzidło i uderzywszy kilka razy czołem o podłogę, odejść, gdyż na tem polega chińskie nabożeństwo. Przez ten czas, bonzowie, otaczający bałwana, wyśpiewywali monotonnie pochwały na cześć bożyszcza. Kto chciał więcej łask bałwana sobie zaskarbić, kupował od bonzy modlitwę, wydrukowaną na skrawku złoconego papieru, wkładał ten skrawek pomiędzy śmigi maleńkiego, ręcznego wiatraczka, stojącego w świątyni, pokręcał kilka razy rączką i odchodził pewny, że modlitwa nieomylnie trafi do drewnianego łba bożka.

Uroczystość się skończyła. Dzieci, które rodzicom do świątyni towarzyszyły, rozbiegły się wesoło po zaułkach wioski, jęły skakać, bawić się, jak które umiało i mogło. Był pomiędzy tą rzeźką gromadką chłopczyk kilkoletni, z niezwykle miłą, pociągającą twarzą, o rysach regularnych, spojrzeniu pojętnem i łagodnem. Chłopiec ten biegł szybko, ciągnąc za sobą wielkiego latawca, którego widocznie puścić zamierzał, a biegnąc, potrącił przez nieuwagę innego chłopczyka, który szedł wolno, przerzucając kartki trzymanej w ręku książki.

— To ty, Tai-Tsu? — zawołał pierwszy przystając.—Wybacz, zdaje mi się, żem cię potrącił... Ale widzisz, chciałem coprędzej wypróbować nowego latawca...

— Nic mi się nie stało — odrzekł Tai-Tsu.

— Jesteś słodki, jak trzcina cukrowa, Tai-Tsu — rozśmiał się pierwszy. — Powiedz mi jednak, dlaczego nie widziałem cię dziś w pagodzie?

— Bo ja, Ahymo, nigdy nie bywam w żadnej pagodzie — szepnął poważnie Tai-Tsu.

— Dla czego? — zagadnął rozciekawiony Ahyma, zapominając o latawcu.

Tai-Tsu wahał się nieco, lecz po chwili rzekł z pewną szlachetną dumą:

— Jestem chrześcijaninem.

Ahyma cofnął się z obawą, ale ciekawość przemogła, znów sie przysunął do Tai-Tsu i wypytywać począł:

— Któż cię na chrześcijanina przerobił? Coż twój ojciec na to?

— Ojciec mój jest również chrześcijaninnem, a znać i kochać prawdziwego Boga nauczył nas kapłan katolicki z Francyi, którego nazywamy ojcem duchownym.

— Czy twój Bóg ma także świątynię?

— Tak, Ahymo — rzekł Tai-Tsu z przejęciem.—Ale w świątyniach naszych nie zobaczysz tych strasznych, wstrętnych postaci, z wielkimi brzuchami, odętymi policzkami, jakie w waszych pogańskich świątyniach ludzi przerażają. W naszej świątyni jest ołtarz biało przybrany, a po nad nim wisi prześliczny obraz, przedstawiający wizerunek Świętej Matki z Dzieciątkiem na ręku. Oboje tak piękni, tak piękni, że serce się do Nich wyrywa i coś cię skłania, abyś padł na kolana, modlił się do Nich gorąco, z pokorą, czcią i miłością... To nasz Bóg i Najświętsza Jego Matka. Rozmawiamy z Nimi, odmawiając piękne modlitwy i Różaniec, którego pacierze liczymy na tych paciorkach.

To mówiąc, odsłonił zwierzchnią odzież i pokazał Ahymie zawieszony na szyi Różaniec.

Ahyma głową z podziwu kręcił, coś go pociągało do nieznanego Boga i Jego Matki.

— Powiadasz, że tego wszystkiego nauczył was...

— Czcigodny kapłan katolicki, nasz ojciec duchowny — powtórzył Tai-Tsu i dodał, myślą tknięty:—Wiesz co, Ahymo... pójdź ze mną, pokażę ci nasz ołtarz.

— Dobrze, idźmy!

Tai-Tsu poprowadził towarzysza swego wązkiemi, ubocznemi ścieżkami do małego, odosobnionego domku, obsadzonego drzewami. Otworzył drzwi, weszli do pierwszej izdebki. Porozrzucane sieci, wiosła o ścianę oparte, oznajmiały, jak się zdawało, mieszkanie rybaka. Z tej izby udali się do małego alkierza. Tu znajdowały się sprzęty nic wspólnego z rybactwem nie mające: w jednym kącie stało ubogie, twardo usłane łoże; w drugim stoł, zarzucony księgami i papierami. Tai-Tsu otworzył drzwi ukryte w ścianie i wprowadził Ahymę do niewielkiego pokoju, w którym stał skromny ołtarz drewniany, na nim krucyfiks, wyżej zaś był umieszczony dużych rozmiarów obraz Najświętszej Panny z Dzieciątkiem Jezus. Na środku widniało ubogie cymboryum, gdzie był utajony Ten, Który zstąpił z Nieba, aby Swą męką i śmiercią świat cały odkupić.

Przed ołtarzem płonęła lampa, a na stopniach klęczał rosłej postaci mężczyzna, którego twarz biała i czarne włosy zdradzały dalekiego przybysza z Zachodu, z Europy, chociaż na sobie chiński ubiór nosił. Mężczyzna ów tak był głęboko zatopiony w modlitwie, że nie usłyszał wchodzących. Błagał on w tej chwili Boga, aby mu pozwolił oświecić światłem wiary jak największą liczbę biednych, zaślepionych pogan. Mo-

dlitwa jego musiała posiadać moc żarliwości i szczerości, musiała trafić przed Majestat Przedwiecznego, gdyż chociaż w części, lecz w tej chwili wysłuchaną została.

Tai-Tsu położył dłoń swoją na ramieniu kapłana i rzekł z cicha:

— Ojcze, przyprowadzam ci mego towarzysza...

Misyonarz odwrócił się, uśmiechnął i powstawszy z klęczek, zbliżył się do małego poganina, który, wiedziony zabobonną ciekawością, nie zwodził z niego swoich czarnych, ognistych oczu; pozwolił mu czas pewien przypatrywać się sobie i ołtarzowi, potem biorąc go za rękę, zapytał:

— Podoba ci się tu, dziecko moje?

— Bardzo! — odparł bez wahania Ahyma.—Twoja pagoda jest daleko piękniejsza, niż pagoda Foego. Bożek naszej pagody zawsze napełnia mnie strachem, a to Dzieciątko tak się do mnie mile uśmiecha, że zupełnie śmiałym się czuję.

— Chcesz może poznać naukę tego Dziecięcia, które jest naszym Bogiem?

— Chcę. Skoro Ono jest Władcą Nieba, to oczywiście, musi być potężniejsze niż Foe, który był tylko człowiekiem. A co trzeba robić, żeby się twojemu Bogu podobać? Może wymaga bardzo ciężkich, trudnych rzeczy?

— Wcale nie — zaprzeczył łagodnie misyonarz.—Najprzód trzeba Go kochać nadewszystko i kochać wszystkich ludzi, bo wszyscy zarówno są naszymi braćmi...

— A także trzeba znać Jego przykazania — wtrącił poważnie Tai-Tsu i szybko wyliczył Dziesięcioro Przykazań Bożych.

Z wielką uwagą i skupieniem słuchał Ahyma, potem rzekł:

— W tem, co usłyszałem, niema sprzeczności z nauką Foego, i Foe bowiem każe żyć uczciwie, zabrania zabijać, krzywdzić, kłamać, ale w przykazaniach waszego Boga jest jeszcze wiele innych, pięknych i mądrych rzeczy; niezmiernie mi się podobały.

Misyonarzowi serce się radowało, po głowie chłopca pogłaskał.

— Słuchaj tedy, dziecko moje — odezwał się serdecznie: —Jeżeli chcesz poznać naukę Boga naszego, zachowywać ją, przyjąć Chrzest Ś-ty, to otrzymasz w tem życiu, na ziemi, Łaskę Bożą, a po śmierci wstąpisz do krainy Wiekuistej Chwały, gdzie nieustannie będziesz mógł oglądać Pana nad Pany i zażywać niewypowiedzianej szczęśliwości...

— Cóż to jest Chrzest Święty? — zapytał Ahyma.

— To Sakrament, oczyszczający nas z grzechu pierworodnego, który popełnili pierwsi rodzice nasi, Adam i Ewa, w raju — wtrącił szybko Tai-Tsu, gdyż chciał uzyskać pochwałę kapłana, że tak doskonale pamięta jego nauki.

Ahyma nie zrozumiał dobrze, lecz miłość dla nieznanej mu Prawdy już była dłonią Bożą posiana w jego sercu, więc rzekł po chwili:

— Wszystko, wszystko tu mi się bardzo podoba. Przyjdę tu znów niedługo, mój ojcze, a ty mnie będziesz uczył, jak poznawać i czcić Pana Niebios i ziemi

— Bóg z tobą, dziecko moje — odparł wzruszony misyonarz. — Idź w spokoju!

I oto mały poganin, wychowywany w grubych błędach bałwochwalczych, tak ukochał Chrystusa i Jego naukę, że codzień przychodził do misyonarza, siadał u nóg jego i z najpilniejszą uwagą słuchał tłómaczeń pierwszych zasad wiary katolickiej, starając się dobrze je zrozumieć i zatrzymać w duszy na zawsze. Jeżeli jego umysł dziecięcy nie mógł czego pojąć, to nie zgłębiał, nie badał, lecz wierzył niezachwianie. Czcigodny misyonarz — a trzeba wiedzieć, że był nim Najdostojniejszy Biskup Kantonu, jednego z największych miast chińskich, zwał się Guillamain, i teraz właśnie odbywał wizytę apostolską swojej dyecezyi, musiał zaś ją, wobec prześladowania, jakie cierpieli wówczas chrześcijanie w Chinach, odbywać potajemnie — otóż, czcigodny misyonarz, który opuścił kraj ojczysty i rodzinę, aby wśród tego azyatyckiego obszaru, porosłego chwastami pogaństwa, wybierać dla Ojca Niebieskiego kłosy ziarniste i oczyszać je, szczególnie polubił to pojętne i miłe dziecko. Często też, przebiegając myślą dzień upłyniony i obliczając poczynione w tym dniu zdobycze dla wiary, mówił w duszy:

— Zaiste! nie żal porzucić nawet sędziwą matkę i ukochaną ziemię rodzinną, byle chociaż jedną tak jasną i piękną duszę pozyskać Chrystusowi, jak tego dziecka.

Pragnąc dowiedzieć się bliższych szczegółów o miłym chłopczynie, zacny pasterz przywołał do siebie starego katechetę, rodem z tej samej wioski i zapytał, czy zna Ahymę?

— Nieinaczej, mój ojcze — odparł katechta. — Dobre to i nad wiek pojętne dziecko jest potomkiem rodziny chrześcijańskiej. Przodkowie jego za wiarę Chrystusa śmierć męczeńską ponieśli i dziś już zapewne w Niebie zasłużoną cieszą się zapłatą. Ojciec mój znał dokładnie wszystkie szczegóły męczeństwa całej tej rodziny. Było to za panowania cesarza Kia-Kinga, w r. 1805. Rozpoczęło się wówczas straszliwe prześladowanie wiary naszej świętej, które, jak ci najlepiej wiadomo, ojcze, trwa dotychczas, wprawdzie nieco uśmierzone przez zbrojne wdanie się Anglii i Francyi. Dziad Ahymy, ochrzczony imieniem Tadeusza, gorliwy katolik, był katechetą przy Najdostojniejszym Biskupie Tabraca i razem z nim został wtrącony do więzienia. Najdostojniejszy Biskup poniósł śmierć męczeńską, a katecheta umarł w więzieniu z głodu i nędzy... Syn jego, Jan, mienie całe stracił na opłacanie ogromnych podatków,

jakie chciwi mandaryni (urzędnicy chińscy) nakładali na chrześcijan, a jednak nie ustawał w świętej gorliwości, zgromadzał u siebie rodaków, jak mógł uczył zasad Chrystusowej wiary. Ujęto go — i śmierć okrutną mu zadano. Dwaj bracia Jana poszli jego śladem—również w koronie męczeńskiej świat ten opuścili.

— Boże miłosierny! ile krwi! ile ofiar!—szepnął rozrzewniony biskup.

— Tak zatem — kończył opowieść katecheta — z całej rodziny została jedna dziewczynka w niemowlęcym wieku, którą wychowano w nieświadomości wiary ojców, a gdy dorosła, wydano za zawziętego bałwochwalcę, czciciela Foego. Ona to była matką Ahymy, lecz nie żyje już od lat czterech, a chłopcem opiekuje się ojciec, nieubłagany wróg chrześcijan.

— Niezbadane są wyroki Boga! — zawołał biskup. — Oto krew męczenników wołała do Nieba i Łaska zstąpiła na ostatniego ich potomka.

Dostojny pasterz miał już wkrótce opuścić Chiny północne, gdyż pragnął zwiedzić inne prowincye, gdzie wzrastająca liczba wiernych oczekiwała jego apostolskiej wizyty, a następnie wrócić do Kantonu, gdzie stale mieszkał.

Przed opuszczeniem jednak tych stron, postanowił udzielić Ahymie Sakramentu Chrztu Świętego.

Ahyma był zupełnie zostawiony sam sobie. Nikt nad nim nie czuwał, ojciec nie zatroskał się o niego, nie zapytał: co robi? czy nie potrzebuje czego? Zwykle dni całe przepędzał w polu, mógł więc łatwo, nie kłamiąc, nie oszukując starszych, uczęszczać do domku, w którym mieszkał biskup. Chłopiec, natchniony snać nadziemskiem pragnieniem poznania Wiary Ś-tej, tak pilnie się uczył, z taką uwagą słuchał nauk pasterza, że wkrótce dobrze poznał główne zasady religii katolickiej, umiał „Ojcze Nasz,“ „Zdrowaś,“ „Wierzę,“ „Dziesięć Przykazań“ i wiele innych pięknych modlitw.

Nadszedł wreszcie ów dzień uroczysty, w którym Ahyma miał przyjąć Chrzest Ś-ty. Odbył się ten akt pięknego, letniego rana. Blaski słoneczne ozłociły ubogą kaplicę w chwili, gdy mały poganin, potomek tylu męczenników, pochylił kornie czoło, po którem miał spłynąć święty strumień zmazującej grzech pierworodny wody. Katecheta Paweł był ojcem chrzestnym, dał synowi swemu imię Gabryel. Chłopiec z zastanawiającem przekonaniem i pewnością odpowiadał na pytania, poprzedzające udzielenie Sakramentu, a po skończonym obrzędzie, biskup ze łzami w oczach uściskał nowego chrześcijanina i do wychowania w świętej wierze katolickiej go zachęcał.

— Każde odstępstwo, każda zdrada hańbi duszę człowieka — mówił — ale odstępstwo od Boga nietylko ją hańbi, lecz potępia ją na wieki, odbiera jej zbawienie wieczne.

— Bądź spokojny, ojcze — odparł Gabryel. —Bóg mnie nie opuści. Czy zresztą mógłbym skalać na nowo tak oczyszczoną duszę moją?

Tego samego dnia wieczorem biskup opuścił wieś, zmuszony groźbami okrutnych mandarynów. Katecheta Paweł towarzyszył mu w podróży. Gabryel długo patrzył na oddalającą się łódkę, zabierającą mu najlepszego, jedynego przyjaciela, który duszy jego otworzył nowy, nieznany jej dotychczas świat wiary...

II.

Nazajutrz rano Ki-Hang, ojciec Gabryela, przywołał syna do siebie.

— Pójdziesz ze mną do pagody — rzekł. — Weź mleko, ryż i kadzidło. Ofiarujemy to uczonemu bonzie i poprosimy go, żeby nam wyjednał łaskę Foego.

Gabryel zadrżał i zbladł: nadeszła chwila stanowcza, w której musi przed ojcem wyznać prawdę, powiedzieć, że do innej wiary przywiązało się jego serce.

— Co ci jest? — zapytał Ki-Hang.

— Mój ojcze — odparł Gabryel — ja... nie mogę ci towarzyszyć do pagody...

— Czemu? — przerwał szorstko Ki-Hang, brwi skośne zsuwając.— Zapewne umyśliłeś sobie na dziś nowe jakie figle? Nic z tego! Pójdziesz do pagody, ja tak chcę!

— Mój ojcze, żadnych figlów nie umyśliłem — wyjąkał Gabryel.— Zresztą, chociażby tak było, porzuciłbym na twój rozkaz wszystkie zabawy. Ale ojcze, ja do pagody żadną miarą iść nie mogę.

Ki-Hang snać domyślać się czegoś począł, bo ścisnął pięści i żywo się poruszył; zdołał jednak pohamować się.

— Nie rozumiem — rzekł. — Tłómacz się jaśniej, szczerzej, z ojcem mówisz?

— A więc... wyznam ci wszystko, ojcze. Pewien czcigodny kapłan, wysłaniec Zachodu, nauczył mnie znać, kochać, czcić i wielbić prawdziwego Boga, a kiedy tak się stało, nie mogę oddawać czci bałwanom. Sam to przyznasz, ojcze.

Zapanowała chwila milczenia. Ki-Hang zasępiony, z czołem zmarszczonem wpatrywał się w syna swemi czarnemi oczyma, wkońcu wycedził przez zaciśnięte usta:

— Więc jesteś chrześcijaninem?

— Tak, ojcze, jestem chrześcijaninem, dzięki Łasce Najwyższego, który oświecić mnie raczył światłem prawdziwej, świętej wiary.

— Jesteś chrześcijaninem? — powtórzył Ki-Hang, a twarz jego coraz bardziej pochmurniała. — Poszedłeś w ślady ojca twojej matki i chcesz, jak on, zostać wtrąconym do więzienia, zginąć w męczarniach. Dobrze. Czyń, co ci się podoba, ale ja ani myślę narażać się na gniew mandarynów i zapowiadam ci, że jeżeli trwać będziesz w swoim uporze, znać cię nie chcę. Od tej chwili nie jestem twoim ojcem, nie dostaniesz u mnie kęsa chleba, ani kąta do spoczynku... Zrozumiałeś?

— Wyrzekasz się mnie, ojcze? Wypędzasz? — jęknął Gabryel osłupiały.

— Tak, głupcze! — krzyknął Ki-Hang, wymachując pięściami. — No, masz jesze chwilę do wyboru: jeżeli pójdziesz ze mną do pagody oddać cześć Foemu, będziesz żył w dostatku; jeżeli zaś trwać będziesz w tych przeklętych czarach, które dyabły cudzoziemskie u nas rozpowszechniają, wyrzekam się ciebie i ...fora ze dwora! Wybieraj!

Gabryel uczuł w głowie zamęt — w młodem jego sercu odbywała się walka uczuć. Żal go przejmował na myśl opuszczenia ojca i domu rodzinnego, wyrzeczenia się dostatków. Nagle zabrzmiały mu w uszach słowa pożegnalne biskupa:

— Każde odstępstwo, każda zdrada hańbi duszę człowieka; ale odstępstwo od Boga nietylko ją hańbi, lecz potępia na wieki, odbiera jej zbawienie wieczne. To go umocniło, uczuł się silnym, odezwał się:

— Ojcze, przebacz! przebacz! Jako chrześcijanin nie mogę oddawać czci bałwanom, nie mogę iść do pagody!

— Więc precz z mego domu! — wrzasnął Ki-Hang.

Gabryel zwrócił na ojca spojrzenie błagalne, lecz w twarzy jego wyczytał nieugiętą srogość.

— O! matko moja — szepnął — gdybyś ty żyła...

— Gdyby matka twoja żyła — przerwał stary Chińczyk — zrobiłaby tak, jak ja, lub poszłaby precz razem z tobą! No... wybieraj!

Gabryel zwrócił się ku drzwiom, postąpił kilka kroków, potem zatrzymał się i wyciągnął ręce do ojca.

— Pozwól mi wyznawać prawdziwą wiarę! — szepnął.

— Precz z mego domu! — zabrzmiał ostry i zimny niby stal głos Ki-Hanga.

Strumienie łez zalały twarz Gabryelą, ale uczucie obowiązku zwyciężyło głos natury — opuścił strzechę rodzinną.

Upłynął dzień cały, a zawzięty poganin ani myślał przywołać syna. Gabryel spędził noc w pustej oborze, nazajutrz zaś o świcie, smutny, zgłodniały, zaczął się błąkać koło ojcowskiego domu. Naraz Ki-Hang wyszedł. Odrazu spostrzegł syna, spojrzał na niego z nienawiścią i zawołał:

— Precz! Precz!

Gabryel złożył ręce i ukląkł.

— Precz! — powtórzył stary. — Powiedziałem ci raz, że już nie jestem twoim ojcem! Miałbym się dla ciebie narażać na gniew mandaryna, a może na co gorszego! Nigdy! Niedoczekanie twoje! Wierz i módl się, jak ja, albo... ruszaj, gdzie cię oczy poniosą!

Chłopiec oddalił się, roniąc łzy rzewne.

W południe Tai-Tsu, dowiedziawszy się o nieszczęściu Gabryela, przyniósł mu nieco prażonego ryżu i placek jęczmienny. Zgłodniały Gabryel podziękownł mu serdecznie, a późnym wieczorem udał się na nowo do pustej szopy, w której poprzednią noc przepędził. Tam upadł na kolana, pomodlił się gorąco, następnie zaczął rozważać położenie swoje.

— Do pagody? — mówił do siebie. — Nigdy! Nigdy! Za żadną cenę, za żadne skarby świata! Wolałbym być dręczony i umrzeć, jak ojciec mojej matki. O powrocie do domu myśleć nie mogę, ojciec raz na zawsze zamknął mi drzwi swoje, a ubłagać się nie da, bo nienawidzi chrześcijan. Co zatem pocznę? Gdzie się nieszczęśliwy obrócę?

Gorzkie łzy z oczu spływać mu poczęły, rozpacz go ogarniała.

Wtem spostrzegł zawieszony na szyi szkaplerz i wizerunek Zbawiciela, które dostał przy pożegnaniu od biskupa, z jego błogosławieństwem. Widok przedmiotów świętych ożywił go, uspokoił i natchnął myślą.

— Ojciec mojej duszy...— jął znów rozważać. — A gdybym się udał do niego? On taki dobry, onby mnie z pewnością nie odepchnął, nie pożałowałby mi garstki ryżu ani kąta dla wypoczynku. Tak, ale gdzie go szukać? Kanton... wiem, że tam mieszka stale, ale to miasto podobno bardzo, bardzo stąd daleko, gdzieś na końcu kraju... Jednak innego wyboru nie mam, udam się do Kantonu. Tak, pójdę tam. Iść będę ustawicznie w kierunku południa, będę przytem modlił się gorąco, będę ufał miłosierdziu mego Boga, Pana Nieba i ziemi. On przecież żywi sieroty i ptaszęta, nie zapomina o żadnem stworzeniu, więc i na mnie spojrzy okiem łaskawem, czuwać nademną będzie, nie dozwoli mi umrzeć z głodu.

Gdy zamiar ten powstał w głowie Gabryela, wszystkie jego obawy i niepewności znikły, jakby nadziemską odegnane siłą, natomiast ogarnął go błogi spokój i nadzieja. Przeżegnał się, raz jeszcze modlitwy odmówił, potem przycisnął do piersi godła zbawienia i zasnął smacznie, jakby pod ojcowską strzechą.

Nazajutrz obudził się równo ze świtaniem i zaraz udał się w drogę, nieomieszkawszy polecić się gorąco Bogu. Puścił się w oną drogę daleka i nieznaną wprawdzie z niebaczną ufnością dziecka, ale także

z silną wiarą chrześcijanina, która światy zdobywa i jeszcze potężniejszych dokonywa rzeczy.

III.

Pogoda sprzyjała prześliczna; mały podróżny szedł jednak bez ustanku dzień cały, a jedynem jego pożywieniem były jarzyny i owoce dzikie, napotykane w drodze. Wieczorem znalazł się wśród wzorzystej, zielonej łąki, którą przerzynał strumień, z wodą czystą niby kryształ. Gabryel z rozkoszą zaspokoił pragnienie, które mu mocno dokuczało, od rana bowiem wody usta jego nie dotknęły, odmówił „Ojcze Nasz'' i wszystkie inne modlitwy, jakie umiał, a potem w głębokim śnie znalazł wypoczynek i pokrzepienie.

Gdy się obudził nazajutrz, słońce już było wysoko. Podziękował Bogu za noc spokojną, nazbierał korzonków i owoców, nabrał wody w znalezione naczynie, które u pasa zawiesił, popatrzył przez chwilę w stronę wioski rodzinnej i udał się dalej, starając się wciąż trzymać południowego kierunku.

Dzień był nadzwyczaj skwarny, słońce paliło dokuczliwie, a okolica, przez którą przechodził w tej chwili, była głuchą puszczą, wyludnioną przez głód straszliwy, jaki lat temu kilka dotknął Tataryę i Chiny północne. Nie można było dostrzedz ani śladu wsi, ani żywego stworzenia; ziemia, oddawna leżąca odłogiem, wydawała tylko chwasty i ździczałe korzenie. Gabryel jednak szedł śmiało, nie upadał na duchu; jego gorąca, żywa wiara wskazywała mu wszędzie, na każdym kroku wszechpotężną obecność Boga i jak niegdyś lud żydowski na puszczy, tak on widział przed sobą słup światła, który mu przyświecał i drogę wskazywał. Z nadejściem wieczora, znów pomodlił się gorąco, Bogu polecił i zasnął spokojny.

O brzasku dziennym zbudził się. Wszedłszy na wyniosłe wzgórze i rozejrzawszy się dokoła, spostrzegł rozciągające się u stóp swoich pastwiska bujne, zraszane orzeźwiającą wodą, nad której brzegiem stał rozpięty duży namiot tatarski. Wielka trzoda baranów rozkoszowała się soczystą trawą, małe, rozsiodłane konie biegały tu i owdzie, wstrząsając długiemi, rozwianemi grzywami, pośrodku łąki płonęło ognisko, z którego dym tumanami ciemnemi falował ku górze.

Widok ten niezmiernie ucieszył Gabryela. Znał Tatarów, wiedział, że są niezmiernie gościnni, że podróżnym krzywdy nie czynią, śmiało tedy zbliżył się do nich. Pozdrowiwszy ich uprzejmie, został zaraz do ogniska zaproszony, a gdy siadł na miejscu wskazanem, poczęstowano go herbatą i plackiem z mąki owsianej. Gdy Gabryel głód zaspokoił, zapytał go jeden z Tatarów życzliwie:

— Dokąd idziesz, młody bracie?

— Na południe, daleko — odpowiedział chłopiec.

Tatarzy wcale się nie ździwili, że takie oto dziecko samo daleką podróż odbywa. Są oni narodem koczowniczym, ustawicznie wałęsającym się po świecie, więc nie rozumieją nawet, jak można osiedlać się gdziekolwiek stale i podróż, choćby najodleglejsza, najniebezpieczniejsza, nie budzi w nich podziwu ani obawy.

Młody wędrownik spędził z Tatarami dni kilkanaście, bo i oni ciągnęli do wsi pewnej, leżącej w stronie południa, gdzie mieli sprzedać swoje tuczne barany; przez ten czas Gabryel nie zaznał głodu ani pragnienia. Gościnni ludzie dzielili się z nim wszystkiem, co mieli. To też gdy stanęli u kresu podróży, w owej wiosce, Gabryel ze smutkiem z nimi się żegnał; oni również żałowali, że w nim tracą towarzysza, bo polubili go szczerze; na dowód przyjaźni, obdarzyli go takim zapasem żywności, jaki tylko mógł udźwignąć.

Niedługo jednak wyczerpała się ofiarowana przez poczciwych pasterzy żywność i znów Gabryel żyć musiał znajdowanymi w polach korzonkami lub napół dojrzałymi bądź nadpsutemi owocami, które znajdował w lasach. Chłopiec atoli myślał jedynie o celu podróży, o tym najukochańszym ojcu duchownym, którego Bóg zesłać mu raczył w nieograniczonem miłosierdziu swojem, który go nauczył wiary świętej i pewnie teraz nietylko nie odtrąci od siebie, ale uczyć go i czuwać nad nim będzie. Ożywiony tą nadzieją, największe, najuciążliwsze przykrości i niebezpieczeństwa podróży znosił odważnie, z wytrwałością taką, którąby chlubę przyniosła dojrzałemu i otrzaskanemu z dolegliwościami życia mężowi. Szedł i szedł coraz dalej i dalej, a męczennicy, przodkowie jego, spoglądali na niego z pociechą i błogosławili mu z wysokiego Nieba, od stóp Bożego Majestatu.

Dnia pewnego, gdy młody chrześcijanin zbliżył się do jakiegoś wielkiego miasta, usłyszał słabe jęki, dochodzące uszu jego od strony wielkiego stawu, który za bramą miejską wykopano. Ździwiony zbliżył się w tę stronę i zdrętwiał ze zgrozy, bo oto jakiż smutny widok przedstawił się jego oczom!.. Na powierzchni stawu unosiło się mnóstwo napół martwych, nowonarodzonych dzieci, a każde z nich miało pustą banię, przywiązaną u szyi, która mu utonąć nie pozwalała. Przy brzegu stawu, zanurzony w wodę wyżej pasa, brodził jakiś starzec, usiłując dzieci pływające najbliżej ratować z topieli.

— Co to być może?—pomyślał Gabryel, wstrząsając się z oburzenia.—Co znaczą owe dzieci w stawie? Czyby je umyślnie tu rzucano? Ależ to chyba niepodobieństwo!

Tak rozmawiając, zbliżył się do starca, zamierzając mu dopomódz w wyciąganiu niemowląt ze stawu.

Jakoż udało mu się szczęśliwie uchwycić i wyciągnąć na brzeg troje tych niewiniątek, starzec wyratował inne, następnie brał je z kolei na ręce, lał strumień wody na ich główki, wymawiając słowa, których znaczenie Gabryel zrozumiał odrazu i zawołał radośnie:

— Udzielasz tym niewiniątkom Sakramentu Chrztu Swiętego, jesteś więc chrześcijaninem?!

Stary Chińczyk z pewnem zdumieniem spojrzał na chłopca i odparł:

— Tak jest, dziecko moje, a ty?

— O! ja również, dzięki Najwyższemu Bogu, Stworzycielowi Nieba i ziemi, jestem chrześcijaninem—potwierdził Gabryel, a potem zapytał: —Powiedz mi, dobry staruszku, skąd się tu wzięło tyle niemowląt?

Starzec głową smutnie pokiwał, westchnął i takie pytającemu dał objaśnienie:

— Ach, synu mój! Serce się krwawi na samo wspomnienie, że dziać się może coś podobnego... Dowiedz się, że dzicy i okrutni bałwochwalcy, chcąc się pozbyć swoich dzieci, topią je w tym stawie. Ja czuwam tu codzień odkąd zostałem chrześcijaninem i tym niemowlętom, które mi się uda uratować żywe, udzielam Chrztu Ś-tego, martwe zaś ciałka grzebię obyczajem chrześcijańskim. Uratowane dzieciątka zanoszę do dobrych, miłosiernych kobiet, które zastępując okrutnych rodziców, zajmują się ich wychowaniem.

Gabryel, słuchając opowieści starca, nie mógł łez powstrzymać, głośnym wybuchnął płaczem, bo i on doświadczył na sobie samym, jak niemiłosiernym i zatwardziałym okrutnikiem czyni człowieka bałwochwalstwo.

Starzec ciałka martwe pogrzebał opodal muru miejskiego, a niemowlęta żywe zaniósł z Gabryelem do mieszkających w poblizkiej wiosce chrześcijan. Ci przyjęli Gabryela z braterską serdecznością i dopiero po kilku dniach, gdy dobrze wypoczął po trudach długiej podróży, puścili go w dalszą drogę.

Młody wędrownik widział nad sobą niebo coraz pogodniejsze a dokoła siebie coraz bujniejszą roślinność, domyślił się tedy, że zbliża się do pożądanego kresu. Teraz co krok spotykał bujne łany ryżu, bogate plantacye herbaty, to znów miasta okazałe, wspaniałe, wysmukłemi wieżycami zdobne pagody i pałace.

Pomimo bohaterskiej wytrwałości, biedny Gabryel coraz więcej upadał na siłach; osłabiony długą podróżą, głodem, niedostatkiem, często całe dni leżał gdzie pod drzewem, niezdolny kroku postąpić; ale wiara jego duszy była tak silna, że nadzieja i odwaga nie odstępowały go ani na chwilę, ilekroć zaś Opatrzność zesłała mu niespodzianą jaką pomoc, z uwielbieniem padał na kolana, krzyżyk swój do ust i do piersi przyciskał, błogosławiąc Bożą, czuwającą nad nim rękę.

Pewnego wieczora, strudzony, znękany pragnieniem i głodem, usiadł pod cienistem drzewem, w pobliżu jakiejś wioski, pragnąc we śnie znaleźć ulgę i ratunek. Naraz zbliżyła się do niego kobieta jakaś, w ubogiej sukni, z gęstą zasłoną na głowie. Gabryel tak był znużony, że poruszyć się nie mógł; utkwił w twarzy nieznajomej wyraziste oczy swoje, z których przezierało zupełne wyczerpanie sił, kobieta zaś patrzyła na niego przez chwilę z wielkiem współczuciem, a widząc krzyż i Różaniec, zawieszone na jego szyi, klasnęła w dłonie i zawołała radośnie:

— Ach! jesteś więc chrześcijaninem!?

Gabryel nie mógł nawet odpowiedzieć, natomiast krzyżyk swój do piersi przycisnął.

— Biedne dziecko! pójdź ze mną — rzekła kobieta z rzewnem ubolewaniem — czuwać będę wraz z siostrami nad tobą.

To rzekłszy, podniosła go, i wspierając troskliwie, zaprowadziła do ubogiego domku, gdzie mu niezwłocznie skromny dano posiłek.

W domku owym mieszkały nawrócone Chinki, w których misyonarze obudzili zamiłowanie odosobnionego, uczynkom miłosiernym poświęconego życia, i które, swoją nieograniczoną gorliwością, wielkie oddają sprawie krzewienia świętej wiary katolickiej usługi. Gabryel, opowiedziawszy swoją historyę, doznał najserdeczniejszego przyjęcia; zacne kobiety zatrzymały go dni kilka, aby wypoczął po trudach tak długiej, siły młodociane, wyczerpującej podróży, następnie wzmocnion na duchu i siłach, w dalszą udał się drogę. Z radością dowiedział się, że już kilka tylko mil oddziela go od Kantonu.

Czcigodny biskup Kantonu, znany tylko Bogu, Aniołom i szczupłej garstce wiernych, zamiast pałacu biskupiego, miał tylko ubożuchny, na ustroniu stojący domek. Tu, siedząc w żebraczej niemal izdebce, spisywał właśnie przebieg swej pracy, zachodów swoich, w opowieści zaś tej, którą miał przesłać do Paryża, błagał o nowe jałmużny na dzieło zbawienia, modlił się gorąco, aby Bóg dawał mu i nadal siłę, do pełnienia tak trudnej pracy. I oto, nagle, przypomniał sobie matkę, rodzinę, ziemię ojczystą, a przypomniawszy, opuścił głowę na piersi, łzy spłynęły po jego licach, z piersi wydarło się ciężkie westchnienie.

Na jakież to uwielbienie i cześć zasługują ci gorliwi apostołowie ci wierni słudzy Ewangelii, którzy zbrojni jedynie świętem godłem krzyża, niezrażani nieomylnie prawie czekającą ich śmiercią męczeńską, rzucają kraj rodzinny i wszystko, co ukochali, w tej jednej nadziei, że zdołają nawrócić i pozyskać Chrystusowi nieszczęśliwe, w błędach bałwochwalstwa pogrążone dusze...

Pisząc do Francyi, Dostojny Pasterz pomyślał, że może już nigdy kraju rodzinnego nie zobaczy, może już na wieki pożegnał ukochaną matkę i przywiązaną rodzinę, i boleść ścisnęła jego serce gołębie...

Ale Bóg w tej chwili gotował pociechę wiernemu słudze: biskup usłyszał szmer jakiś w pokoju przyległym, drzwi otworzyły się i chłopczyna blady, wychudły, z twarzą spaloną przez wiatr i słońce, w odzieży podartej, wpadł i rzucił mu się na szyję, wołając:

— Ojcze moj, ojcze! czy mnie nie poznajesz? Ja jestem Gabryel!...

Biskup oczom nie wierzył— zaledwie mógł poznać w tym wychudłym nędzarzu pięknego, zdrowego, pełnego rzeźkości Ahymę, którego chrzcił niedawno. Gabryel opowiedział wszystkie swoje przygody, a rozrzewniony biskup uściskał go, pobłogosławił i zawołał z uniesieniem:

— Chciejcie i wierzcie! „Gdybym miał wiarę, jak ziarnko gorczyczne, góry bym przenosił," mówi Pismo Święte. Jakże słowa te, Panie, żywo sprawdziły się na tem dziecięciu! Jak wielką jest jego wiara, że dla nie zaparcia się jej, odważył się na tak odległą i dla takiej dzieciny niedostępną prawie drogę! Jak silna jego wola, kiedy postanowił wszystko przetrwać, aby dojść do zamierzonego celu!

I raz jeszcze ściskając Gabryela, dodał, kładąc rękę na jego głowie:

— Dziecko moje! Niech życie twoje całe będzie godne tego dziecinnego wieku! To najlepsze, jedyne życzenie i błogosławieństwo, jakie ci dać może twój ojciec duchowny...

Niezwłocznie postawił przed nim skromny posiłek, na jaki stać było biednego biskupa-misyonarza, i zapewnił, że odtąd zastąpi mu miejsce ojca. Gabryel serdecznie podziękował, a spostrzegłszy w rogu pokoju zawieszony nad klęcznikiem obraz Najświętszej Panienki, upadł na kolana i zawołał ze łzami w oczach:

— O! dzięki Tobie, Święta Dziewico! dobra moja Matko! Dzięki, żeś mnie otoczyła Swoją świętą opieką, dała siłę, moc niezaparcia się Boga mego i doprowadziła szczęśliwie do ojca mej duszy... Przyczyń się za nami, Matko Najświętsza, i błogosław nam!

Odtąd Gabryel nie odstępował biskupa Kantonu, kształcił się pod jego okiem, a doszedłszy lat, przyjął święcenia kapłańskie i był jednym z najgorliwszych misyonarzy.



Kilka słów
o apostolstwie chrześcijańskiem w Chinach.

Opowieść „Biskup Chiński i jego uczeń“ jest we wszystkich szczegółach prawdziwa; wyjęliśmy ją z „Roczników Propagandy,“ to jest ze sprawozdań misyonarskich, ogłaszanych w Paryżu, do których podana została przez Dostojnego Biskupa Kantonu, ks. Guillemaina, tego właśnie, który chrzcił a następnie wychowywał Gabryela. Już z tej opowieści czytelnik osądzi, jak trudne i niebezpieczne jest położenie misyonarzy w Chinach i nawróconych Chińczyków; nie są oni pewni dnia ani godziny, gdyż przeważna część ludności tamtejszej nienawidzi chrześcijan i wogóle cudzoziemców, korzysta z każdej sposobności, żeby im dokuczyć, żeby niweczyć dzieło zbawienia. Poniżej opowiemy jeszcze, chociaż pokrótce, kiedy w Chinach zjawili się misyonarze katoliccy i jakich doznawali prześladowań.

Otóż, pierwszy misyonarz katolicki ukazał się w Chinach w 1581 roku. Był to zakonnik, Jezuita, nazwiskiem Michał Roger. Po nim przybyło kilkunastu, ale zostali zamordowani w r. 1615. Okrucieństwo Chińczyków nie raziło Ojców Jezuitów. W roku 1648 budują kościół w Kai-Tung-Fu, nad rzeką Żółtą, lecz świątynia ta skutkiem zerwania się tamy na rzece została zniesiona, przyczem jeden z zakonników, Ojciec Rodrig de Figuerado utonął, ratując owieczki swoje. W r. 1666, za panowania uczonego cesarza Hang-Ki, działo się misyonarzom w Chinach bardzo dobrze. Wszyscy oni byli ludźmi uczonymi, wielkich zdolności, cesarz Hang-Ki tedy, sam rozmiłowamy w naukach, otaczał ich czcią i opieką, a nawet obdarzał godnościami. Tak naprzykład, Ojca Verbiest zamianował przezesem zgromadzenia matematyków, czynił z nim doświadczenia naukowe, uczył się od niego. Wreszcie tak sobie upo-

dobał misyonarzy, że wezwał ich do rady państwa i polecił im zrobić mapy dawnych prowincyj chińskich, aby się przekonać o obszarze cesarstwa, nad którem panował. Na nieszczęście, dobre stosunki nie trwały długo—zawistni mandaryni zaczęli dokuczać misyonarzom do tego stopnia, że Ojciec Święty musiał się ująć za nimi. Do stolicy chińskiej, Pekinu, przybył poseł Ojca Świętego, legat, co niezmiernie oburzyło cesarza. W r. 1705 ogłoszony został rozkaz cesarski, zabraniający misyonarzom pobytu w Chinach, kościoły ich zostały zburzone, a kiedy, wskutek tego, przybył drugi poseł Ojca Świętego, cesarz, przeczytawszy list apostolski, zawierający łagodne, lecz pełne powagi przestrogi, rzekł do swoich ministrów:

— Jak śmie Papież zarzucać mnie listami? One mogą obchodzić tylko podłych dyabłów chrześcijańskich, ale nie mnie. W państwie mojem ja rządzę, ja stanowię o wszystkiem i z nikim władzą dzielić się nie myślę! Trzeba zatem Europejczykom stanowczo zabronić głoszenia ich wiary u nas.

Rozpoczęło się tedy nowe prześladowanie chrześcijan, które się wzmogło do wysokiego stopnia, kiedy na tronie chińskim zasiadł syn Hang-Ka, imieniem Yung-Tezynga. Urzędnicy cesarstwa przedstawili nowemu władcy, że cudzoziemcy oszukiwali jego ojca, że ojciec jego stracił na powadze u narodu, pozwalając, przez zbytek dobroci, osiedlać się Europejczykom w swoich krajach. Wielkorządca Chin, Fukian przedstawił nawet cesarzowi prośbę, w której go błagał, żeby dla spokoju i szczęścia swoich ludów, rozkazał wszystkich cudzoziemców wygnać raz na zawsze z Chin, odesłać ich do Makao, będącego wtedy posiadłością portugalską.

Jakoż prześladowanie chrześcijan w Chinach, rozpoczęte przed dwustu laty, trwa do dziś dnia, wprawdzie z przerwami, ale zawsze trwa...

Wiara jednak katolicka, raz zaszczepiona, bujnie się krzewi w Chinach; kapłani katoliccy, żyjący i noszący się po chińsku, korzystają z zupełnego zaufania miejscowej ludności, bronią ją od wyzysku cudzoziemców i czynią wiele dobrodziejstw. Katolicy mają już 41 dyecezyj biskupich, 664 parafie, 68 seminaryów i szkół w tym rodzaju, jak nasze gimnazya, wreszcie około dwóch milionów Chińczyków, jawnie wyznających wiarę katolicką.

Pierwsze groźniejsze prześladowanie chrześcijan w Chinach rozpoczęło się za panowania cesarza Jung-Tchena i trwało od r. 1723 do r. 1735. Część misyonarzy schroniła się wtedy do Kantonu, inni ukryli się w odleglejszych prowincyach. Za panowania cesarza Tsing-Lunga, od r. 1736 do r. 1778, położenie chrześcijan nie polepszyło się; ścigano ich, jak dzikie zwierzęta, skazywano na tortury, więzienie, lub śmierć. Za cesarzy Tsien-Tsina i Dao-Huanga, w trzeciem i czwartem dziesięciole-

ciu ubiegłego wieku, prześladowania stały się coraz sroższe; doszło w końcu do tego, że wszystkich misyonarzy wygnano z Pekinu, a w r. 1870 urządzono w Tsien-Tsinie straszliwą rzeź chrześcijan. Rzeź owa była głównie wywołana instrygami ajentów handlowych, którzy udawali misyonarzy protestanckich. Z biegiem czasu nienawiść do białych jeszcze bardziej się wzmogła, co doprowadziło do wojny z Europą, jeszcze, jak wiadomo, niezupełnie zażegnanej.

Dość wspomnieć o straszliwej rzezi chrześcijan, dokonanej w Tien Tsinie w r. 1870. O tych okrucieństwach opowiada doskonały znawca stosunków chińskiej, Francuz, nazwiskiem Edmund Planchet. Opowieść jego powtórzymy w krótkości:

Tien-Tsin, gdzie osiedliły się Siostry Miłosierdzia, był ostatnim portem chińskim, otwartym dla Europejczyków zaraz po wzięciu Pekinu przez armię francusko-angielską. Miasto owo, położone nad rzeką Pei-ho, posiada ludność bardzo niespokojną, która nigdy nie miała styczności z Europejczykami. Nienawiść do cudzoziemców posunięta tam jest do najwyższego stopnia. W tym właśnie czasie, w innem mieście, noszącem nazwę Szang-haj, zobelżono, bez najmniejszego powodu, dwie zakonnice: naplwano im w twarz w biały dzień, na ulicy, wobec mnóstwa osób. Jeżeli tedy w Szang-haju, mieście stosunkowo oświeconem, dopuszczono się takiej zniewagi, czego można było się spodziewać od ciemnego pospólstwa w Tien-Tsinie? W mieście tem panuje klimat bardzo ostry: od września lody pokrywają przystań, żaden statek nie może zawinąć, a cudzoziemcy, wygnani na tę ziemię niegościnną, muszą czekać miesiącami na listy z kraju rodzinnego.

Siostry Miłosierdzia, przybywszy do Tien-Tsinu, zabrały się do dzieła chrześcijańskiego, wspomagane przez księdza Chevriera, przez konsula francuskiego Fontaniera, oraz przez kilku urzędników. Pracę rozdzieliły pomiędzy siebie według możności i zdolności: jedne otworzyły szpital, gdzie wszystkich chorych przyjmowały, bez różnicy wyznania i narodowości; inne urządzały schroniska, gdzie pielęgnowały i uczyły małe Chińki, które ksiądz Cheorier i inni misyonarze wykupywali za pieniądze, nadsyłane im od Towarzystw Miłosierdzia.

Skoro dowiedziano się w Szang-haju i Tien-Tsinie, że Europejczycy kupują za gotówkę młode dziewczęta, znaleźli się tacy nikczemnicy, którzy przebiegali wsi, miasta i kradli dzieci, aby je następnie sprzedać do ochron chrześcijańskich. Kradzieże dzieci stały się tak częste, a z drugiej strony kupna tak liczne, że obwiniono misyonarzy o zachęcanie złodziei. Podejrzenia wywołały prześladowanie chrześcijan.—Chińczycy z okrzykami: —Zemsta na złodziei dzieci!—zaczęli znęcać się nad cudzoziemcami, a zwłaszcza nad Francuzami. Mordowano ich, kamienowano... Rozsądek nakazywał czasowo zamknąć ochrony i szkoły, ale

gorliwość nawracania wzięła górę, a to sprowadziło klęskę nad wyraz okropną. Oczywiście, że nie wszystkie dzieci dostawały się do Sióstr Miłosierdzia i misyonarzy w drodze kradzieży, bardzo wiele było sprzedawanych przez rodziców, bo prawo chińskie pozwala na tego rodzaju sprzedaż. Czysto bywa gorzej: często matki chińskie wyrzucają małe dziewczęta na śmieci lub topią. Chińczycy zaprzeczają temu, ale prawdzie zaprzeczyć niepodobna.

Siostry Miłosierdzia tedy w Tien-Tsinie prowadziły dzieło zbożne, aż do zatargu między Francyą a Chinami, z czego ostatecznie skorzystała Anglia, a ucierpieli—katolicy. Dniem pełnym grozy był 22 czerwca 1870 r. Dnia tego, od wczesnego rana do 5 po południu, urządzano na katolików w Tien-Tsinie formalną obławę: chwytano ich na ulicach, mordowano, bito, zabijano w mieszkaniach, nad trupami pastwiono się. Morderstwa dokonywali żołnierze, podburzani przez mandarynów.

Gubernator Tien-Tsinu, Szong-Ho, pono był najlepszym w świecie człowiekiem, lecz słabym, bez woli. Mógł jednem słowem rzeź powstrzymać, a z dziwnych powodów nie uczynił tego.

Pierwszą ofiarą rozwścieczonego tłumu padł konsul francuski, następnie Thomassin, tłómacz poselstwa francuskiego (ten padł w obronie młodej swojej żony), dalej: państwo de Chalmaison, ks. Chevrier i przeszło 100 sierotek.

Siostry Miłosierdzia bardzo późno się dowiedziały o rzezi; przełożona ani myślała szukać opieki u władz chińskich, była pewna, że i ona, i jej podwładne, jako spełniające tylko dzieło miłosierdzia: jako wspomagające chorych i sieroty, są zupełnie bezpieczne. Rzeczywiście, zostawiono je do wieczora w spokoju, lecz o zachodzie słońca i o nich sobie przypomniano. Może też tłum czekał umyślnie zmroku, jako najlepiej sprzyjającego zbrodni. Oszalały, pijany krwią motłoch otoczył dom nieszczęśliwych Sióstr, z wyciem, z dzikimi krzykami przypuścił szturm do drzwi, które nie wytrzymały nacisku. Przełożona wystąpiła naprzód, jakby chcąc bronić Siostry. Tłum porwał ją, związał, zaciągnął do słupa na placu i tam zaczęło się pastwienie, na jakie chyba tylko Chińczycy, zaprawni w torturowaniu, zdobyć się mogą: wyłupiono jej oczy, odcięto piersi, pokaleczono całe ciało, wreszcie porąbano na sztuki. Zakonnice pozostałe modliły się, klęcząc przed ołtarzem, w swej małej kaplicy: mordercy wywlekli je stamtąd, znieważyli haniebnie, poodcinali piersi i wrzucili w płomienie ich własnego domu.

Wkrótce po rzezi, rząd chiński zrozumiał, że źle się stało, że Francya zażąda zadosyć uczynienia. Uprzedzając wypadki, kazał ściąć kilku nędzników, następnie wysłał do Paryża z uniewinnieniem generała Szong-Ho, który wówczas był już gubernatorem prowincyi Peczili. Szong-

Ho przybył do Francyi w chwili, kiedy rząd francuski myśleć musiał o obronie kraju od napadu Prusaków. Czekał na posłuchanie kilka miesięcy, wreszcie przyjęto go bardzo grzecznie, zapominając, że należało go przyjąć surowo i traktować jako winowajcę. Ale Francya, zaprzątnięta wojną z Niemcami, mało zwracała uwagi na Chiny, załatwiono sprawę zgodnie. Było to niewłaściwością, której skutki uczuć się dały. Wkrótce po powrocie generała Szong-Ho do Chin, misyonarz Hué został okrutnie zamordowany w prowincyi Se-Tczuan, w Bhamo zginął Anglik Margary, dwóch księży francuskich spalono żywcem, a czterech nowonawróconych Chińczyków porąbano na sztuki. W sześć lat po tych wypadkach, do Tien-Tsinu znów przybyły Siostry Miłosierdzia i znów otworzyły szpitale i szkoły, które w czerwcu roku zeszłego zostały zburzone, podczas nowego prześladowania chrześcijan.

Największa misya katolicka w Chinach znajduje się na wyspie Hainan, leżącej przy południowych wybrzeżach Chin, niedaleko posiadłości portugalskiej Makao. Wiara katolicka została tu wprowadzona około 1632. Paweł Wong, nawrócony syn owego mandaryna, który pierwszego Jezuitę, Ojca Mateusza Ricci zawiózł do Pekinu, był rodem z Hainan. Po nawróceniu się, przywiózł na wyspę rodzinną z Makao misyonarzy. Pierwszym opowiadaczem wiary na Hainanie był Ojciec Piotr Marques, wypędzony wówczas właśnie z Japonii, gdzie brat jego starszy poniósł śmierć męczeńską. Po dwuletnim pobycie na wyspie wrócił znów do Japonii, miejsce jego na Hainanie zajął w roku 1638 Ojciec Benedykt Mattos, słynny z biegłego władania językiem chińskim. On to jest właściwym założycielem misyj katolickich na Hainanie, gdyż on pierwszy zaprowadził tam dość liczną gminę chrześcijańską. Pracował lat 5 niezmordowanie, dopoki intrygi bonzów nie zmusiły go do opuszczenia wyspy. Katechetę, który go zastąpił, bonzowie otruli. Wkrótce atoli Ojciec Mattos znów wrócił na Hainan i przy pomocy Ojców Jezuitów z Makao, rozpoczął pracę z podwójnym zapałem. Założył 4 stacye misyjne z kościołami lub kaplicami, a miasto Kung-Sza-Fu stało się głównem siedliskiem jego apostolskiej działalności. Umierając, Ojciec Mattos zostawił swemu następcy wzorowo urządzoną misyę, z kościołami, kaplicami, szkołami i 3 tysiącami nawróconych. Niebawem misyę dotknęły rozmaite nieszczęścia i prześladowania, chrześcijanie ukrywać się musieli na wyspie. Przed stu laty, potomkowie dawnych chrześcijan tamtejszych przywieźli sobie na Hainan z Makao świeckiego księdza Chińczyka, który w r. 1810 pozostawał na wyspie od Wielkiego postu do Zielonych Swiątek. Liczba chrześcijan wzrastała; zbudowano kilka nowych kaplic, a z biegiem czasu nie jeden, lecz kilku kapłanów zaspakajało potrzeby wiernych. Pomiędzy kapłanami szczególną gorliwością odznaczali się dwaj krajowcy, urodzeni na Hainanie.

W r. 1850 misya powierzoną została paryskiemu seminaryum misyj zagranicznej. Odtąd misya stale się rozwija, kwitnie, a nawet protestanci odzywają się o niej z wielkiem uznaniem, zwłaszcza o pracy ks. Michała Chazota. Żył on w niedostatku, lecz wszystko znosił dla miłości Zbawiciela. W r. 1876 paryskie seminaryum misyi zagranicznej ustąpiło z Hainan, a misya tamtejsza dostała się pod opiekę biskupa z Makao. Na wyspie znajdowało się wtedy 800 z górą wiernych. Pracę apostolską rozpoczęli wówczas misyonarze portugalscy, lecz wojna francusko-chińska przeszkodziła im w niej. Na wyspie wybuchło niewypowiedzianie okrutne prześladowanie: kościoły, mieszkania misyjne, szkoły, zakłady dobroczynne, domy chrześcijan uległy rabunkowi i pożodze; zaledwie część wiernych zdołała się uratować w Makao i innych miastach sąsiednich, część śmierć poniosła, część wróciła do pogaństwa. W ostatnich czasach misya znów przeszła pod opiekę Ojców Jezuitów. Znaleźli oni tam, jak pisze Ojciec d'Oliveira Ksawier, około 300 wiernych, a daleko więcej takich, którzy nie mają odwagi jawnie wyznawać wiary katolickiej. Miejmy nadzieję w Bogu, że zabiegi Ojców Jezuitów nie będą płonnemi.

Opowiedzieliśmy czytelnikowi pobieżnie, z jakiemi trudnościami i niebezpieczeństwami muszą walczyć misyonarze katoliccy i nawróceni do wiary prawdziwej krajowcy w Chinach. W niedalekiej przyszłości opowieść uzupełnimy szczegółami, dotyczącemi ostatniego prześladowania. Jednak już z przytoczonego wyżej okazuje się, że apostolstwo w Chinach cierpi prześladowania nieustannie od pierwszego swego kroku, a przewrotni Chińczycy nie zważają nawet na groźby mocarstw europejskich. Dziś pogromieni i upokorzeni, rozpływają się w słodkich przyrzeczeniach, żeby za chwilę znów okrucieństwa wznowić. Wielka jest ich przewrotność, ale większa wytrwałość i poświęcenie się misyonarzy. Przyjdzie czas, że Światło Krzyża zatryumfuje raz na zawsze.



Drogi Opatrzności.

Opowiadanie z przeszłości.

Mało się znajdzie ludzi, którzyby nieszczęście umieli znieść cierpliwie. Najczęściej, zamiast poddać się woli Bożej, sarkają i wyrzekają przeciw Bogu. Zapominają oni, że cierpienie jest próbą, — czyli doświadczeniem człowieka przez Pana Boga. Za cierpliwe znoszenie nieszczęść Bóg wcześniej lub później wynagradza ludzi, bardzo często jeszcze w tem życiu. Właśnie dowód takiej Opatrznościowej nagrody znajdziemy w następującem zdarzeniu.

W roku 1621 groźna chmura zawisła nad wschodniemi krainami Polski. Sułtan turecki wyprowadził około 400 tysięcy wojska przeciw Polakom, i zalał niem południowo-wschodnie prowincye.

Mieszkańcy, znając dzikość i zawziętość wroga, opuszczali wsie i miasta, i ukrywali się w górach, pieczarach, gęstych lasach lub obronnych większych miastach. Turcy, zajmując bez przeszkody opuszczone domy, grabili pozostałe w nich cenniejsze przedmioty, a czego zabrać nie mogli, niszczyli lub palili. Co noc świeża łuna zwiastowała na daleką przestrzeń o szerzącem się spustoszeniu miast i wiosek. Co dzień chwytani w kryjówkach mieszkańcy zwiększali liczbę jęczących w kajdanach jeńców.

Gdy w takim pochodzie ta dzika horda zbliżała się do Lwowa, — Anna Wielicka, mieszkanka z Brzeżan, miasteczka o kilka mil od Lwowa odległego, po krótkiej, a gorącej modlitwie czyniła przygotowania do ucieczki z domu, który lada chwila miał się stać pastwą płomieni. Drugi rok już mijał, jak mąż jej Jan opuścił progi rodzinne, by stanąć w szeregach polskich, pod hetmanem Żółkiewskim. Nie otrzymując przez cały ten czas żadnej od męża wieści, we łzach i tęsknocie, przeplatanej modlitwą, pędziła życie razem z trojgiem dzia-

tek. Doszły ją wprawdzie wieści niepewne, smutne, że przed rokiem Polacy stoczyli z Turkami krwawą bitwę pod Cecorą; pomimo męstwa zostali zwyciężeni ogromną liczbą tureckiego żołnierza; padł tam sam hetman Żółkiewski, a z nim wielu dzielnych mężów. Może i Jan tam poległ?... a może dostał się do niewoli tureckiej, a może obecnie spieszy do walki z tą tłuszczą?...

Przed obrazkiem Matki Boskiej Chęstochowskiej Anna zazwyczaj tłumiła łzy, gwałtem się do ócz cisnące, nabierała siły do zniesienia tych ciosów. Tam codziennie troje dzieciątek wraz z matką słały do Boga swe błagalne modły o pomoc.

Teraz postanowiwszy ucieczkę, zabrała z sobą skromne pieniężne zasoby i cenniejsze rzeczy, a także wyjęła z ramek obrazek cudami wsławiony i zawiesiła go sobie na piersiach. Pożegnawszy następnie kąty i sprzęty swego domostwa, — ze łzą rozczulenia w oczach, ruszyła w podróż do Lwowa.

Niestety! cierpienia biednej kobiety miały się dopiero rozpocząć. Po całodziennej męczącej podróży, gdy oczekiwała spoczynku w murach Lwowa, — niespodzianie napotkała oddział wojska tureckiego, wysłanego na zwiady. Wzięto ją do obozu i umieszcono w liczbie innych jeńców.

Rozpoczęło się teraz dla niej życie pełne niewygód i męczeństwa, które się zakończyło ciężką niewolą. Po skończonej bitwie pod Chocimem i zawartym przez hetmana Karola Chodkiewicza pokoju, wielu jeńców wykupiono lub za tureckich wymieniono. O Annie i jej dziatkach nikt nie pomyślał, nikt się o nich nie upomniał. Gdy wojska tureckie powróciły do kraju, dowódca oddziału, który zabrał Annę do niewoli, wystawił ją na sprzedaż, tak jako i dziatki, na rynku w Stambule, stolicy państwa tureckiego, zwanej inaczej Konstantynopolem.

Teraz nastąpił bolesny rozdział między matką a dziatkami: matka została kupioną przez jakiegoś odstępcę od wiary, zamieszkałego w Egipcie, w mieście Aleksandryi, — mała, siódmy rok zaledwie licząca Maniusia dostała się bogatemu, bezdzietnemu kupcowi, Kaito, mieszkańcowi jednego z miasteczek Algieru, dwaj zaś chłopcy, z których starszy miał dziesięć, a młodszy dziewięć lat zostali własnością tureckiego urzędnika na wyspie Cyprze, słynącej wówczas z rozbojów i kradzieży.

Któż potrafi opisać boleść matki, gdy ukochane jej dzieci odrywano od niej na zawsze?

Mania nie zdawała sobie sprawy ze swego smutnego losu:

— Mamusiu - wołała—nie oddaj mię tym panom, ja ich się boję.

— Nie odstąpimy cię, mamo, my z tobą pójdziemy! — powtarzali chłopcy.

— Idźcie — mówiła przez łzy nieszczęśliwa matka — idźcie, moje dziateczki, tam, gdzie was Bóg wzywa. Pamiętajcie o Bogu, a On się wami zaopiekuje, odmawiajcie modlitwy do Matki Boskiej, a Ona czuwać będzie, jak matka, nad wami...

I przerwać musiała swe przestrogi, gdyż ją gwałtem oderwano od dziatek i popędzono w drogę.

Odtąd rozpoczęły się dla Anny Wielickiej dni ciężkie, pełne udręczeń i bólów. Lecz i tym razem czerpała siłę i pociechę w obliczu Matki Boskiej Częstochowskiej, Jej codziennie polecała wszystkich członków swej rodziny.

Najcięższą próbą dla Anny było żądanie nowego pana, aby się wyrzekła Wiary Świętej. To groźbą, to obietnicami natarczywie domagał się tego od niej.

— Zrobię cię panią w moim domu —obiecywał jej zaprzaniec— pojmę cię za żonę, będziesz opływała w dostatkach, tylko wyrzec się Chrystusa, przyjmij wiarę machometańską.

— Nie — odpowiadała Anna — za żadne skarby świata nie oddam tej wiary, która mi zapewnia niewyczerpany skarby w niebie.

— Wiesz przecież — mówił innym razem — że jesteś w moich ręku, i gdy zechcę, śmiercią cię ukarzę za twój upór.

— Znam twą moc, lecz pamiętam także, i o tem, czego mię wiara moja uczy, że życie ziemskie i męczarnie są krótkie, — a nagroda w życiu wiecznem jest nieskończoną.

Raz znowu, zaprowadziwszy ją na miejsce, gdzie męczono nieposłusznych niewolników, pokazał jej straszne tortury, mówiąc:

— To cię czeka, jeśli nie odstąpisz przesądów twojej wiary.

— Nie lękam się—odpowiadała Anna—Bóg jest moim opiekunem, On mi osłodzi gorycz tortur.

Takie jej odpowiedzi i stałość w wierze i cnocie doprowadziły go do wściekłości. Wrzucił ją do więzienia, a skazawszy na chleb i wodę, zapomniał przez dłuższy czas o niej.

Dopiero po dziesięciu latach takiej kaźni, widząc twarz wynędzniałą i zżółkłą i całą postać swej niewolnicy ku ziemi zgiętą, postanowił ją za cokolwiek sprzedać, by odebrać, choć cząstkę danych za nią pieniędzy.

Nowy nabywca Anny zwał się Kaito, bogaty kupiec z Algieru. Potrzebował on właśnie niewolnicy—chrześcijanki, aby jej polecić roczną swoją córeczkę, gdyż utrzymywał, że chrześcijanie są zawsze najwierniejszymi w wypełnianiu swoich obowiązków.

— Udało mi się — rzekł z uśmiechem, wprowadzając Annę do pokoju żony — udało mi się kupić ci niewolnicę, która napewno zaopiekuje się dzieckiem naszem jak własnem. Jestto chrześcijanka, wiele

za wiarę cierpiała, a jeśli Boga nie zdradziła, nie zdradzi też i panów swoich.

Spojrzała nowa pani na swą służebną wzrokiem przenikliwym i jakby uczuciem trwogi lub wstydu wiedziona, spuściła je na ziemię...

Serce bić poczęło równocześnie i w piersi Anny.

Rysy twarzy nowej pani są jej dobrze znajome... Kto może to być?...

Nie potrzeba tam pamięci i rozumu, gdzie serce mówi. W dwóch sercach równocześnie zabiły silniej tętna... Dziwne przeczucie odkryło obu kobietom równocześnie wielką tajemnicę. Zaledwie drzwi zamknął Kaito, gdy czułe głosy łkaniem i łzami tłumione rozdarły powietrze:

— Córko ukochana!... dziecię jedyne!... skąd się tu wzięłaś?

— Matko moja.. mateczko droga!... poznaję cię, przypominam twe rysy... krzyknęła pani, tonąc w objęciach swej niewolnicy.

— O, jakże dobry Bóg, że mi cię pozwolił jeszcze oglądać, moje drogie dziecię... po tylu latach cierpienia i tortur — czyż mogłam się spodziewać takiego szczęścia?...

Łzy rzęsiste nie pozwoliły jej więcej mówić... Uściskom tkliwym nie było końca. Anna, przerywając sobie płaczem, opowiedziała córce smutną historyę przeszłości,—kończąc, złożyła dzięki Bogu za pociechę otrzymaną.

Z kolei zabrała głos Marya.

— Szczęśliwaś, moja matko — mówiła — że nie odbiegłaś Pana Jezusa. Szczęśliwe dla mnie były czasy, gdy na kolanach twoich uczyłam się paciorka, wymawiając słodkie imiona Jezus, Marya.. Niestety, w Kaita domu, otoczona zostałam kobietami wyznającemi wiarę mahometańską, — nie miałam dotąd sposobności zaczerpnąć zasad prawdziwej chrześcijańskiej wiary. Gdym doszła do lat, musiałam wyjść za mąż za mojego pana — Kaito. Obecnie, gdy mię Bóg obdarzył córeczką, prosiłam męża, by się postarał o chrześcijankę dla jej dozoru, mając na myśli, że od niej dowiem się więcej o chrześcijanach i ich nauce. Bóg mnie snadź nagrodził, bo mi zsyła nietylko najlepszą nauczycielkę — lecz nadto — ukochaną moją matkę!

— Niezbadane są drogi Boże — odrzekła matka. — On sam cierpienia potrafi skierować ku dobru tych, którzy Mu ufają. Wierzę, że On nam pozwoli jeszcze zażywać szczęścia religii katolickiej w krajach, gdzie jej nie prześladują...

— Czy sądzisz, matko, przerwała Marya, że nas Bóg wyrwie z rąk Kaita?

— U Boga niema nic niepodobnego. Módlmy się tylko do Matki Boskiej Częstochowskiej...

Z czasem dowiedziała się Marya o rozłące ojca, o niewoli braci. Co dzień gorąco modliła się, by ich Bóg raczył złączyć w jedną rodzinę, — pod jeden dach.

— Boże mój, Boże, daj mi wiadomość — szeptała często Marya —co się dzieje z moim tatusiem? gdzie są obecnie moi bracia?!

Tym razem Opatrzność użyła samego Kaito za narzędzie w swych ręku. Nie domyślał się nawet, jakie blizkie stosunki łączą jego żonę z niewolnicą. Nie przeczuwał, że serce Maryi biło żywą miłością ku Panu Jezusowi, że już wzgardziła fałszywą Mahometa nauką. Wróciwszy więc razu pewnego z pola, opowiadał Maryi z szyderstwem i nienawiścią:

— Co za upór musi być w tych chrześcijanach... Żadne plagi, tortury nie są w stanie oderwać ich od wiary. Mamy świeży przykład: w więzieniu, obok naszego domu, jest młody chreścijanin, liczący około 20 lat. Codziennie klęczący odprawia on swoje modlitwy. Biją go, męczą, więzieniem karzą—a jednak nie mogą go odwieść od tych praktyk.

I wskazawszy palcem przez okno jakąś postać, zgiętą i skurczoną pod murem naprzeciw spoczywającą, dodał:

— Oto do jakiego stanu przyprowadził go upór jego: robić nie może i ledwo ducha nie wyzionie...

Na ten widok ścisnęło się serce Maryi. Gdy Kaito ją zostawił samą, poczęła się naradzać z matką, jakby pomódz biedakowi. Upewniwszy się wreszcie, że mąż wyszedł z domu, dała znak nędzarzowi, by się zbliżył do okna.

Gdy ten się przyczołgał, rzuciła mu przez okno kilka sztuk monety i cichym, lecz wyraźnym głosem rzekła:

— „Jutro, o tej samej porze, przybądź tutaj.“

Gdy nazajutrz, nie zwracając niczyjej uwagi, biedak zbliżył się do okna, otrzymał znowu kilka monet i list.

Ukrywszy się od oczu ludzkich, czytał w nim:

„Chrześcijaninie, ponieważ mężnie stajesz w obronie twej wiary, przeto ufamy, że nas wspomożesz. Damy ci pieniędzy na wykupienie siebie i kogoś z twych towarzyszów z niewoli. Przyrzeknij nam tylko, że w dowód wdzięczności wybawisz z niewoli nas — dwie chrześcijanki.—Odpowiedź prześlij tą samą drogą. Niech cię Bóg wspomoże.“

Chwiejąc się i kulejąc, pośpieszył biedny niewolnik podzielić się tą wieścią z innnymi dwoma towarzyszami — chrześcijanami. Złożywszy gorące dzięki Bogu za podaną im pomoc, ułożyli we trzech odpowiedź.

Marya niecierpliwie oczekiwała, kiedy się zjawi pod oknem niewolnik chrześcijański.

— Módl się, matko moja, do Maryi Częstochowskiej przy jej pomocy dokonamy naszych zamiarów.

Wreszcie, gdy Kaito wyjechał z domu, a dozorcy i niewolnicy byli przy zajęciach, ujrzała Marya znanego biedaka. Rzuciwszy mu kilka monet, spuściła sznurek, do którego on przywiązał kartkę. Chwyciwszy ją, pobiegła do matki.

— Słuchaj, mateczko, przeczuwam, że zbliża się nasze wybawienie. Słuchaj, co nam piszą:

„Szlachetna Pani!—czytała, wydobywszy list.—Niech ci Bóg zapłaci za dobrodziejstwa Twoje. Tęsknię do chrześcijan, pragnę czemprędzej opuścić kajdany niewoli, w której już przeszło 10 lat zostaję. Spełniając wolę mojej matki — chrześcijanki odmawiam codziennie modlitwę do Matki Boskiej Częstochowskiej; to jest przyczyną bicia i złego traktowania mię przez moich panów. Pocieszyła mię dziś we śnie Matka Boska, że się wkrótce skończy moja niewola: jeśli ty jesteś narzędziem w Jej ręku, — wykup mnie i dwu moich towarzyszów,— a my dla ocalenia ciebie i twej towarzyszki życie gotowi poświęcić?“

— Otóż, masz dowód—rzekła matka—jak Bóg litościwy mądrze wszystko sprawuje.

— I czemże się wywdzięczymy Bogu za tyle dobrodziejstw?

— Przewiduję, moja córko, że na tem nie koniec.

— Czytałaś przed chwilą, że biedny ten niewolnik wzięty został przed dzięsięciu laty do niewoli. I ty i ja przed dziesięciu laty rozłączyłyśmy się z naszymi chłopcami...

— Więc przypuszczasz, matko, że...

— Tak, przeczuwam, że Bóg nam nowe dobrodziejstwo ześle... przypuszczam, że ten nędzarz, to mój syn, a twój brat starszy!

— Mój brat... brat starszy!..—powtarzała ze łzami radości Marya.— Boże, jakieżby to szczęście było!

— Nie uprzedzajmy rzeczywistości, moja córko! — rzekła matka w obawie zawodu. — Ufajmy Panu!

Chcąc rozsiać niepewność, zapytały nazajutrz niewolnika, jakie posiada wiadomości o swej rodzinie. Na trzeci dzień zaledwie otrzymały odpowiedź. Donosił im niewolnik, że z przeszłości pamięta niewiele, wie tylko, że na imię mu Stanisław, że miał ojca, który wyszedł na wojnę przeciwko Turkom, że ich razem z siostrzyczką i braciszkiem matka uczyła modlitwy do Matki Boskiej Częstochowskiej, i że razem wzięto ich do niewoli...

Radość ze łzami połączona nie pozwoliła Annie doczytać listu. Były już pewne, że syn i brat starszy został im przez Boga posłany dla uwolnienia ich z niewoli.

Opanowawszy wzruszenie, Marya czytała dalej, że Staś dopiero od roku znajduje się u nowego pana. Młodszy zaś braciszek Bolko, nie mogąc znieść dłużej strasznej niewoli i tęskniąc za wolnością religii, w czasie morskiej walki szczęśliwym trafem przy starciu statków zbiegł na statek chrześcijański. Zamiast brata, ma on teraz dwu wiernych przyjaciół chrześcijan, o których wykup z niewoli prosi.

— Wielkim jesteś, o, Boże!—zawołała Anna po odczytaniu tych wiadomości — wierzę, że Ty mi pozwolisz oglądać przed śmiercią całą moją rodzinę.

— Podziękujmy Matce Najświętszej, — bo to Ona kierowała losami Stasia i oznajmiła mu bliskość wybawienia! — dodała Marya.

— Napiszę zaraz list i pocieszę wielkiem naszem odkryciem mojego biednego syna!

— Nie, mateczko —rzekła po pewnem wahaniu Marya —wstrzymajmy się; pod wpływem radosnej nowiny Staś mógłby być nieostrożnym w działaniu i tym sposobem zniweczyć nasze plany.

— Masz słuszność—odrzekła matka po namyśle—dziś tylko modlić nam się trzeba...

W tym samym czasie przybył do miasteczka biskup z Rzymu, wydelegowany przez Bractwo wykupu niewolników. Zgłosił się on po niewolników i do Kaita, a Marya, uzyskawszy chwilę odpowiednią, odkryła mu swoje zamiary ucieczki i prosiła o chrzest córki.

Gdy nazajutrz biskup ochrzcił dziecinę, dając jej imię Jadwiga, Marya doręczyła mu pieniądze na wykup brata i dwóch jego towarzyszów, a także na zakup i uzbrojenie statku, na którymby odpłynęli oraz list do Stasia.

Wykup Stasia i dwu niewolników poszedł łatwo: wskutek ustawicznego znęcania się nad nimi za wiarę, byli oni słabi i do pracy niezdolni. Gdy Staś rzucił oczyma na pierwsze słowa listu, otrzymanego z rąk biskupa, nie mógł słowa przemówić. Czytał bowiem:

„Nie będziemy dłużej ukrywali przed tobą radosnej wieści; chrześcijanki, które cię proszą o pomoc, są ci dobrze znane: jest to twoja matka i siostra. Myśl więc o połączeniu się naszem. Ksiądz biskup udzieli ci wskazówek, zastosuj się do nich.“

Przed wyjazdem do Włoch, razem z biskupem, podszedł Staś raz jeszcze pod okno na pożegnanie, lecz widocznie był to czas nieodpowiedni — bo tylko na chwilę ukazał mu się w oknie obrazek Matki Boskiej i natychmiast okno zostało przymknięte. Na widok obrazka odżyły w nim wspomnienia i uczucia dziecięctwa, ukląkł i modlił się ze łzami. Przebudzili go z tego skupienia dwaj jego towarzysze, również jak on z niewoli wykupieni.

Na drugi dzień Staś wyjechał, — dwaj zaś jego towarzysze, by przygotować wszystko w miejscu do ucieczki pozostali pod pozorem, że oczekują na przyjście statku z Hiszpanii.

W dni kilka potem Kaito ciężko zapadł na zdrowiu, przejechał z całym swym dworem do willi nad morze, — lecz i tu, wskutek wstrząśnienia podczas podróży, nie doznał ulgi i w kilka dni umarł. Marya, jako jedyna prawa jego żona, została dziedziczką olbrzymiej fortuny.

Tymczasem Staś, przybywszy do włoskiego miasta Neapolu, począł szybko zabiegać około kupna i uzbrojenia statku. Biskup zatrzymał się tam, aby polecić go przed odjazdem do Rzymu, członkom Bractwa wykupu niewolników.

Zdarza się często, że jak nieszczęście tak szczęście rzadko jedno spada na człowieka. Człowiek bez wiary widzi w tem zbieg okoliczności, zwykły przypadek, chrześcijanin zaś dostrzeże tam rządy Opatrzności. W szczęściu dopatrzy on nagrodę za dobre czyny, —w nieszczęściu zaś karę za grzechy.

Podczas, gdy biskup, przedstawiwszy Stasia członkom Bractwa, opowiadał historyę jego rodziny i doszedł do chwili, w której brat Bolesław odstąpił go, przerywa mu jeden ze słuchaczów, pytając:

— Jak dawno, Ojcze, miała miejsce ucieczka brata tego młodzieńca?

— Przed rokiem z górą, bo później Stanisława wkrótce odsprzedano.

— A czy dawno zostaje Stanisław w niewoli?

— Minęło już lat dziesięć — dpowiedział obecny Stanisław.

— A w jakich to czasach wzięto was do niewoli?

— Pamiętam tylko — począł opowiadać Stanisław — że były to czasy wojny. Matka moja ustawicznie płakała, nie otrzymując wieści od ojca, który poszedł na wojnę; — często troje nas dziatek klęczało wraz z matką przed cudownym obrazkiem Matki Boskiej, modląc się...

— Dość już, temi samemi słowy opowiadał mi swoją historyę młody człowiek, który przed rokiem cudem prawie dostał się z muzułmańskiego statku na statek, którym ja dowodziłem, i do dzisiaj zostaje u mnie.

Stanisław nie chciał dać wiary nowemu szczęściu.

Przywołano Bolesława. Podobieństwo obu uderzyło wszystkich. Bracia ze łzami radości rzucili się sobie w objęcia.

Obdarzony wolnością Bolesław, dołączył swoje starania do wyprawy przygotowywanej przez brata. W tydzień załoga była gotową do podróży.

Nie tak szczęśliwie szło wszystko w Algierze. Bóg i wśród powodzenia dopuszcza przykrości, któremi doświadcza wiarę i męztwo człowieka. Gubernator prowincyi, w której mieszkała Marya, dowiedziawszy się o śmierci jej męża, postanowił ożenić się z nią, by zawładnąć jej wielkim majątkiem. Potrzebował on właśnie pieniędzy: kończył się termin jego urzędowania, należało więc jechać do Stambułu i prosić o przedłużenie. By w tym celu zjednać sobie wyższych urzędników tureckich, potrzeba było dużo pieniędzy.

Wymawiała się biedna wdowa od małżeństwa słabością zdrowia, —starała się przynajmniej odwlec do pewnego czasu ślub, by przez ten czas dokonać ucieczki. Niestety, nie pomogły jej protesty... Gubernator naznaczył już dzień ślubu przed odjazdem do Konstantynopola i rozgłosił o nim całej prowincyi.

Straszny dzień ten nieodwołalnie się zbliżał.

Już dwa miesiące minęło od wyjazdu Stanisława, a wieści żadnej o nim nie było. Marya, której brakowało gruntownie wpojonych zasad chrześcijańskich, upadała na duchu, lecz matka ustawicznie przypominała jej i rozbudzała ufność ku Bogu.

— Bóg, który nam dał tak wiele dowodów swej łaski, nie wyda nas i nadal na pastwę losu — mówiła.

— Lecz, matko droga, skąd weźmiemy tyle siły, by przenieść ten cios okropny?

— Modlitwa nam sił doda, Matka Boża w upadku poratuje — tłómaczyła Anna.

— Ach, Boże, jeśli inaczej być nie może, niech się dzieje wola Twoja, — szeptała wówczas z rezygnacyą Marya—niech mi te przejścia życiowe będą drabiną do Nieba!

I słuszność miała, wielką wiarą ożywiona matka. Bóg nigdy nie zapomni o tych, którzy w Nim ufność złożyli. On przyjdzie z pomocą wtedy, gdy ludziom wydawać się będzie wszystko straconem: wtedy On okaże człowiekowi swoją wszechmoc w całej pełni.

Gubernator po raz pierwszy na kilka dni przed ślubem zapragnął ujrzeć swą przyszłą małżonkę. Marya z matką podówczas klęczały na modlitwie przed obrazkiem Bogarodzicy. Gdy wszedł we drzwi, cofnął się i stanął jak skamieniały.

— Co to jest? — pytał sam siebie — tu, w mieście muzułmańskiem, w domu mahometanki obrazek Matki Bożej?... ten sam, przed którym on niegdyś korzył się w gorącej modlitwie?..

Wpatruje się w Annę, trwającą na modlitwie jakby w zachwyceniu, i bladością się twarz jego pokrywa... siły go opuszczają... zaledwo wybełkotać potrafi:

— Anno, powiedz, czy to ty jesteś?

Przebudzona z świętego uniesienia Anna, wpatruje się w oblicze Turka i... o, dziwo! poznaje w nim swego męża — Jana!

— Janie, Bóg mię wysłuchał, Bóg mi i ciebie powrócił!

I padła omdlała w jego objęcia...

Po chwili z uczuciem wstydu, wzruszonym głosem zapytał ją gubernator:

— Jakto ty, święta kobieta, mną zaprzańcem nie gardzisz? — Zaiste hańba mi, żem doczekał tej chwili!... Hańba, hańba zaprzańcowi, który odstąpił Chrystusa! — wołał zrozpaczony.

— Nie rozpaczaj—uspokajała go Anna—Bóg jest miłosierny i...

— Nie, dla mnie niemasz miłosierdzia! — wołał w boleści.

— Boże, ulituj się nademną, przebacz mi mój błąd, którego się na zawsze wyrzekam!...

Przy tych słowach zrzucił i podeptał zawój turecki i inne oznaki swego odstępstwa, poczem ukląkł przed obrazem Matki Bożej i głośno zapłakał.

Po krótkiej, rzewnej wszystkich trojga modlitwie, Anna rzekła:

— Nie rozpaczaj, Bóg ci już przebaczył twe grzechy, bo szczerze żałujesz haniebnego twego postępku. Uściśnij twą dawniej ukochaną córeczkę, którą obecnie chciałeś pojąć za żonę.

Marya, która przez dłuższy czas stała w osłupieniu, nie mogąc myśli zebrać, rzuciła się do stóp ojca, całując je i łzami oblewając.

— Mam już ojca, nie jestem sierotą! — szeptała.

Po długich, czułych powitaniach nastąpiło opowiadanie o przeszłości. Jan, gdy wysłuchał opowiadania Anny o jej cierpieniach i niebezpieczeństwach, znowu zabolał nad swoim upadkiem i rzekł:

— Widzę, że stokroć wyżej stoisz odemnie, droga Anno. Ty, słaba kobieta, zwyciężyłaś tyle pokus, przeniosłaś tyle męczarni, — tymczasem ja, żołnierz niejednokrotnie mężnie walczący z Turkami, uląkłem się ich katowni, uległem ich naciskowi... Grożono mi, że pójdę na pal... Widząc męczarnie innych, uląkłem się, zaparłem się Ukrzyżowanego, przyjąłem mahometaństwo... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!... Przebacz mi, żono i córko!...

— Sercem skruszonem i upokorzonem Bóg nie gardzi—odrzekła na pociechę męża Anna.

— Pozyskałem wkrótce—ciągnął Jan Wielicki — względy i zaufanie wielkorządcy Algieru—i zostałem gubernatorem w tem mieście. Pomimo dostatków i władzy przez te lata nie zaznałem chwili szczęścia: nie mogłem przygłuszyć wyrzutów sumienia. Czułem, że was zdradziłem... przypuszczałem, że ty, chrześcijanka, całem sercem Bogu oddana, wzgardzisz mną... Na to zasłużyłem...

— Nie dodaj sobie, mój Janie, goryczy, nie wspominaj rzeczy minionych, zaniechaj tylko twego urzędu, jedź z nami, ratuj się ucieczką z pośród niewiernych, a Chrystus Pan miłosierny przebaczy ci.

— Ach, dziś, gdy mi Niebo taką okazyę do poprawy nastręczyło, czyż mógłbym inaczej postąpić?

— Więc już nie wrócisz do urzędu?

— Nie, nigdy!... rzucam wszystko, zrywam pęta dotychczas mię krępujące, pozbieram tylko jeszcze moje rzeczy wartościowe i spieszę z wami do naszych stron rodzinnych!

Ułożono następnie warunki, ułatwiające ucieczkę Janowi. Małżeństwo, jakie miał zawrzeć z Maryą, ułatwiało mu ucieczkę. Pod tym pozorem wysłał wiele swoich kosztowności do Maryi, sprzedał większą część jej dóbr,—poczem, zamieszkawszy w letnim domku za miastem, wyczekiwał razem z kobietami na okręt. W tym celu i ślub do innego terminu odłożonym został.

Nareszcie w kilka dni potem Stanisław przybił na swym statku do brzegów Afryki. Towarzysze Stanisława, czuwający u wybrzeża, natychmiast dali wiadomość Maryi,—a ta zawiadomiła ojca. W kilka godzin potem kufry i paki były na okręcie i cała rodzina na pełnem morzu.

Z początku pędzono całą siłą masztów, obawiając się pościgu. Nie było więc czasu na zwierzenia i odkrycie tajemnicy. Dopiero po kilku godzinach, gdy obawa minęła, Stanisław odważył się zapytać matki:

— Któż jest ten Turek, którego wprowadziłaś, matko, na pokład? — Zdaje mi się, że strój jego nie odpowiada przekonaniom.

— Zgadłeś, mój synu...—Właśnie i ja czekałam chwili, by ci to wyjaśnić. Opatrzność zgotowała ci wielką niespodziankę: ten nieznajomy Turek jest twoim ojcem!...

— Moim ojcem? Czyż mój ojciec był urzędnikiem tureckim?

— Podziwiaj, dziecię moje, cuda Boże, i ucałuj dziś stopy bolejącego na swój upadek ojca.

Tu opowiedziała Anna krótko o cudownem odzyskaniu męża. Nawzajem syn jej odkrył tajemnicę odszukania brata.

Uściskom serdecznym, tkliwym i czułym słowom, dziękom zasyłanym do Boga,—nie było końca. Cudowny obrazek Matki Bożej, za Której zrządzeniem tę łaski otrzymali biedni niewolnicy niezliczonymi okrywali pocałunkami.

W Neapolu, dokąd szczęśliwie przybyli, sprzedali statek, i stąd na znak wdzięczności ku Bogu pieszo poszli wszyscy do Rzymu.

Tam ojciec i córka wyprzysięgli się nauki mahometańskiej i otrzymali rozgrzeszenie od panującego wówczas papieża Grzegorza XV.

Po rocznej dopiero uciążliwej podróży dobili oni do swego gniazda w Brzeżanach.

Wszystko tu było w ruinie; dworu i zabudowań innych śladu nie zostało; grunt pod zarządem sąsiadów ledwo w połowie był obsiany—indziej chwastami porosły.

Kosztowności i złota starczyło na wybudowanie nietylko dworu i innych budynków, ale i wspaniałego kościoła. Tam umieszczono obrazek Matki Bożej, której swój szczęśliwy powrót przypisywano.

Ponieważ Turcy na dłuższy czas ucichli cała rodzina żyła w spokoju. Marya wkrótce wyszła za mąż za stolnika lubienieckiego, pana Kochowskiego; Stanisław i Bolesław pożenili się z pannami, wywodzącemi się ze starożytnych rodów. Jan i Anna, szanowani przez wszystkich, często wspominali swoje dawne cierpienia, lecz dziś już nie czuli goryczy, tylko wdzięczność ku Bogu.

Tak Bóg nagradza wszystkich, którzy w nim nadzieję pokładają.

ksiądz W. B.



Na stolicach pasterskich.

Ojciec Święty Leon XIII, na konsystorzu papieskim, 15 marca r. b., ogłosić raczył: Jego Dostojność biskupa dyecezyi łuckiej i żytomierskiej, ks. Bolesława Kłopotowskiego, arcybiskupem mochylowskim; Jego Dostojność biskupa-administratora archidyecezyi mochylowskiej, ks. Karola Niedziałkowskiego biskupem dyecezyi łuckiej i żytomierskiej; wreszcie ks. Jerzego hr. Szembeka, kanonika i proboszcza saratowskiego, biskupem płockim. Pośpieszamy z hołdem dla Czcinajgodniejszych Nominatów, składamy im z głębi serca życzenia: *ad multos eosdemque felicissimos annos* (długich i najszczęśliwszych lat), przy sposobności zaś pomieszczamy ich portrety, wyliczenia zasług oraz opisy uroczystości, jakie towarzyszyły zajęciu przez nich stolic.

*
* *

Jego Ekscelencya ksiądz Bolesław Kłopotowski,

arcybiskup mochylowski.

Ujrzał światło dzienne w gub. Podolskiej, pod Szarogrodem, r. 1848 Wychowywał się początkowo w domu, następnie w Złotopolu i w Kijowie. Z seminaryum żytomierskiego został wysłany przez władzę duchowną do akademii w Petersburgu, którą ukończył z wysokiem odznaczeniem magistra *cum eximia laude.* Następnie zajął katedrę profesora seminaryum w Żytomierzu i jednocześnie pełnił obowiązki obrońcy nierozerwalności małżeńskiej przy konsystorzu. W r. 1833 otrzymał godność kanonika łucko-żytomierskiego, z kolei powołany został na stanowisko inspektora akademii duchownej w Petersburgu i do zasiadania, wraz z ks. d-rem Retkiem, w konsorcyum sądowem dla drugiej instancyi spraw małżeńskich pod prezydencyą J. E. biskupa



Jego Ekscelencya ks. arcybiskup BOLESŁAW KŁOPOTOWSKI.

Albina Symona. Wkrótce zajął stolicę pasterską, a chociaż zajmował ją niedługo, cnotami swemi, świetnemi zdolnościami, pracą swą niepożytą do podniesienia jej blasku się przyczynił. Dziś widzimy go znów na stanowisku wyższem — jako arcybiskupa-metropolitę największej w świecie pod względem obszaru archidyecezyi. Już z tego samego tylko powodu stanowisko to pociąga za sobą wielkie trudności i wielką odpowiedzialność, cóż mówić o niepomiernych obowiązkach i ciężarach, związanych z tem wysokiem dostojeństwem? Ale oko i serce Ojca Świętego Leona XIII, Wielkiego Papieża, nigdy się nie mylą. Jego Swiętobliwość ani na chwilę nie zdejmuje dłoni swej z pulsu Kościoła.

Najdostojniejszy arcypasterz znalazł się na placówce dla siebie właściwej. „Glos ludu — jest głosem Boga,“—tak utrzymuje dawna, prastara sentencya, a wszak nominacya J. E. arcypasterza wywołała najszczerszą radość nietylko wśród wiernych archidyecezyi, ale wśród wszystkich Polaków - katolików. — „Błogosławieństwa i dobrodziejstwa spłyną dla Wiary i Kościoła z wyniesienia ks. Kłopotowskiego na tak ważne dostojeństwo!“—powtarzają wszyscy, a ich nadzieje są uzasadnione, bo przemawia za niemi długi szereg zasług Najdostojniejszego arcypasterza, Jego mądrość, roztropność, niepospolite cnoty i zalety, moc ducha i umiłowanie pracy.

Wszak widzieliśmy, że jako profesor był niemal niedoścignionym wzorem. Młodzież lgnęła do niego, postrzegając w nim serce, pełne dla niej miłości, a przytem przeczuwając jego względność, wyrozumiałość, troskliwość ojcowską. Na pewno więc jedyny wyższy naukowy zakład duchowny, jakim jest rzymsko-katolicka akademia duchowna w Petersburgu, w której głos decydujący posiada arcybiskup mochylowski, pod dłonią opiekuńczą i miłościwą tak doświadczonego i mądrego sternika, jakim jest Najdostojniejszy Nominat, rozwinie się, okryje aureolą sławy, przez co, niewątpliwie, wpływ jej religijno-społeczny sięgnie daleko i głęboko.

Wiemy dalej, że Najdostojniejszy arcypasterz jest głębokim znawcą dziejów Kościoła, bo w tym zakresie często się odzywał, a nawet opracował trzytomowe dzieło; równie głęboko odczuwa społeczne cele i zadania Kościoła, czego dowodzą świetnem piórem kreślone rozprawy, pomieszczane w czasopismach religijnych. Jego listy pasterskie, pełne świętobliwego przejęcia się, pisane do dyecezyan, celem wzbudzenia w nich pobożności i wiary, dowodzą znów, jak mu na sercu leży dobro owieczek, ich zbawienie z jednej, a tryumf wiary katolickiej z drugiej strony. Wiemy wreszcie, iż w obcowaniu z ludźmi jest przystępny, niezmiernie uczynny, więc nie odtrąca od siebie maluczkich, dla każdej sprawy szlachetnej serce otworzy. Wszystko to

daje pewność niezbitą, iż życie katolickie w archidyecezyi popłynie szerokim, wartkim potokiem, porwie i pociągnie z sobą wszystkich wiernych, połączy nierozerwalnym węzłem z Kościołem. Już widzimy na skroniach Najdostojniejszego arcypasterza nowy wieniec zwycięskiej zasługi, świetniejszy od zdobytych dotychczas wawrzynów.

Ingres J. E. ks. arcybiskupa odbył się z właściwą wspaniałością. Najdostojniejszy arcybiskup przybył do Petersburga w towarzystwie ks. Szatczyckiego, prałata żytomierskiego, i ks. kanonika Rusieckiego. W Pskowie powitał go wysłannik kapituły mohylowskiej, rektor seminaryum, ks. kanonik Erdman, na stacyi zaś Gatczyno witał go dziekan petersburski ks. Czeczott. Wszystko niemal duchowieństwo petersburskie, z ks. biskupem Niedziałkowskim, kolegium, z kapitułą i z profesorami akademii na czele, tłumy wiernych radośnie pozdrawiały dawno oczekiwanego gościa. Z duchowieństwem przywitał się J. E. arcybiskup niezwłocznie. Nazajutrz o 12 przyjmował duchowieństwo w pałacu swoim, ze szczególną serdecznością zwracając się do kolegów swoich, profesorów akademii duchownej.

Uroczystości przyjęcia paliuszu przez J. E. arcybiskupa oraz złożenia przysięgi na biskupstwo łucko-żytomierskie przez J. E. biskupa Niedziałkowskiego odbyły się w kościele Ś-tej Katarzyny. Świątynię szczelnie wypełniła publiczność. O godzinie 10 na chórze zabrzmiał śpiew *Ecce Sacerdos* i J. E. arcybiskup wszedł do kościoła. U wejścia spotkał go kler, który za nim procesyonalnie udał się do kaplicy Matki Boskiej, gdzie Najdostojniejszy pasterz kilka chwil spędził, adorując Przenajświętszy Sakrament. Stanąwszy przed wielkim ołtarzem, złożył przysięgę rządową w ręce Jego Ekscelencyi ks. biskupa Niedziałkowskiego wobec wielu dygnitarzy. Cicha Msza Święta, odprawiona przez J. E. ks. biskupa Niedziałkowskiego, której arcypasterz wysłuchał klęcząc, rozpoczęła ceremonie kościelne. Po Mszy, inspektor akademii duchownej, ks. prałat Retke, i profesor tej akademii, ks. kanonik Cieplak, odczytali bulle (postanowienia) Ojca Ś-tego. J. E. arcypasterz, przywdziawszy szaty uroczyste, złożył w ręcę J. E. biskupa Niedziałkowskiego przysięgę religijną i przyjął z rąk jego paliusz (oznaka arcybiskupia: taśma z białej wełny, naszywana krzyżykami; arcybiskupi noszą ją na szyi tak, że jeden koniec spada na piersi a drugi przez plecy), poczem arcypasterz przyjmował powinszowania od osób urzędowych i udzielał błogosławieństwo pasterskie zbliżającym się do stóp jego kapłanom i klerykom.

Z kolei ks. kanonik Malecki odczytał bullę, przeznaczającą J. E. ks. biskupa-sufragana Niedziałkowskiego na biskupstwo łucko - żytomierskie.

Teraz J. E. arcypasterz zaczął odprawiać pierwszą swoją Mszę arcybiskupią, w asystencyi alumnów seminaryum. Po *Credo* ks. dziekan Czeczott odczytał z ambony wiernym bullę Ojca Świętego po polsku, po niemiecku i po francusku, a następnie sam arcypasterz przemówił od tronu.

Prześliczne było to przemówienie, streścimy je chociaż pobieżnie, gdyż wiele ziarn prawdziwej, budującej mądrości zawiera.

Przedewszystkiem J. E. arcypasterz skromnie zaznaczył, że niegodzien jest zaszczytu, jakim go Stolica Apostolska obdarzyła, lecz poddając się w pokorze Jej woli, serdecznie pragnie trudnym i ciężkim obowiązkom godnie odpowiedzieć i wierzy, że mu Bóg w tem pomoże. Jako pasterz prowadzić ma wiernych do Jezusa Chrystusa, który jest Światłością świata i Słońcem sprawiedliwości, usuwać przeszkody, które na drodze spotkać mogą; pragnie ich serca ogniem miłości zapalić, żeby ich do służby Bożej uzdolnić. Uczynić tego jednak nie może bez ich pomocy. Więc zwraca się do ojców i matek, od których los przyszłych pokoleń zależy, niech uczą dzieci swoje poznawać Chrystusa i Jego Matkę, a głównie niech świecą im dobrym przykładem, niech usuwają z domu zgorszenie wszelkie, boć ono wiarę obraża i podkopuje. Zwraca się do młodzieży i głosem miłości serdecznej przestrzega, żeby przy świetle Mądrości niestworzonej prawdy szukała, bo Jezus Chrystus jest Stolicą Mądrości. Kto Go za Mistrza swego nie uzna, ten nigdy prawdy nie znajdzie, będzie się błąkał, aż straci wiarę w Boga i w ludzi. Młodzież niech pracuje pod sztandarem Pana Jezusa, jeżeli chce pracować z istotnym pożytkiem. Ale idąc za Chrystusem, potrzeba mieć umysł pokorny i serce czyste: młodzież tedy powinna wyrzec się pychy rozumu, a serce zamknąć przed pokusami zmysłowemi. Wtenczas silną się stanie duchem i ciałem, będzie zasobna w naukę prawdziwą i w wolę. Zwraca się jeszcze J. E. arcypasterz do prostaczków, objaśnia ich, jak mają cenić swoje ubóstwo, dzięki czynić Bogu, że ich uczynił podobnym do Pana Jezusa, ubogiego i wzgardzonego.

Druga część mowy zwrócona była do duchowieństwa.

Uroczystość zakończyło udzielenie zgromadzonym błogosławieństwa i odśpiewanie hymnu „Ciebie Boga chwalimy.“

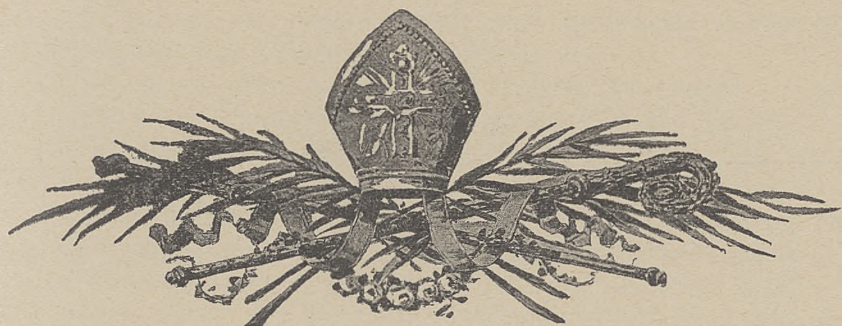
Jego Ekscelencya ksiądz Karol Niedziałkowski,

biskup łucki i żytomierski.

Miejscem urodzenia byłego biskupa-administratora archidyecezyi mohilowskiej, J. E. ks. Karola Niedziałkowskiego, są Mieńkowice pod Krzemieńcem, tam przyszedł na świat w r. 1846. Nauki duchowne studyował w petersburskiej akademii duchownej, którą opuścił ze stopniem magistra Ś-tej Teologii. Otrzymawszy święcenia, zajmował stanowiska: wikaryusza przy kościele seminaryum w Żytomierzu, profesora i inspektora tej instytucyi, kanclerza kuryi dyecezyalnej, kanonika-seniora kapituły łucko-żytomierskiej i rektora seminaryum. Piastował potem godność rektora petersburskiej akademii duchownej, biskupa sufragana mohylowskiego, wreszcie biskupa-administratora tejże archidyecezyi. Obecnie wraca do ukochanej dyecezyi, gdzie wszystkie serca tęsknią za nim, gdzie pozostawił po sobie żal niewygasły. Radość to dla dyecezyan wielka: dzień powrotu Dostojnego pasterza zapisze się w ich sercach na zawsze.

J. E. ks. biskup Niedziałkowski, jak widzieliśmy, zajmował wiele ważnych stanowisk, na każdem odznaczył się jako kapłan i mąż niepospolitej wiedzy i zdolności, jako obywatel dobry, który gotów jest do wszelkich poświęceń, żeby współbraciom swoim pożytek przynieść, jako siewca ziarn zdrowych, światła, wreszcie jako przykład najlepszy. Chociaż na barkach swoich tyle i tak ważnych obowiązków dźwigał, znajdował czas na inne zajęcia: długo badał język polski, którym też włada po mistrzowsku; uprawiał z zamiłowaniem poezyę, muzykę, śpiew, budownictwo, rysunek i malarstwo. Do jednej ze świątyń ofiarował obraz przez siebie namalowany, przedstawiający N. P. Maryę. Kościół przy seminaryum, którym przez lat kilka jako rektor zarządzał, odnowił, zaopatrzył w ołtarze, organy i aparaty.

Znany jest ks. biskup Niedziałkowski, jako pisarz rozpraw i dzieł cenionych; z ostatnich wymienimy tylko: „O zasadę chrześcijańską,“ „Zwodniki (miraże) mądrości,“ „Nie tędy droga,“ „Wrażenia z pielgrzymki do Ziemi Świętej.“ Wszystkie prace Dostojnego pasterza odznaczają się nietylko wiedzą gruntowną, głębokością myśli, ale jeszcze zaleca je piękny jędrny i czysty język, bez cudzoziemskich przymieszek, które tak go szpecą. Ks. biskup przytem zawsze uderza w jądro sprawy, silnie, stanowczo i rzecz każdą przedstawia jasno, zwięźle, bez ogródek. Z zapałem obowiązku i przekonania zwalcza





Jego Ekscelencya ksiądz biskup
KAROL NIEDZIAŁKOWSKI.

bezbożnictwo, niewiarę, zwraca grzeszników na właściwą drogę. To też dzieła jego zawsze będą miały wartość pierwszorzędną, zawsze będą stanowiły dla katolika pożądanego i pewnego doradcę.

Ongi dyecezya łucko - żytomierska, żegnając Dostojnego pasterza, dała budujący przykład czci i przywiązania: obecnie przykład ten wzmocni, witając go radośnie; ongi dyecezya miała osłodę żalu swego w tem, że Dostojny pasterz na nowem stanowisku pracować będzie także dla dobra Kościoła, że z jego wywyższenia i na nią spłynie zaszczyt nowy. Pamiętamy, że wówczas „Przegląd Katolicki,“ zaznaczywszy tę okoliczność, dodał, iż Dostojnego pasterza akademia duchowna w Petersburgu, której był wychowańcem, powitała weselem; powitał go tak dawny sędziwy arcypasterz; powitał wielki w urzędzie poprzednik, który opuszczając po pracy wieloletniej akademię, znalazł pociechę w tem, że najdroższe dziedzictwo swoje, kierownictwo akademią, złożył w ręce spółdyecezyanina swego i przyjaciela; że w osobie jego pozostawi najwierniejszego spadkobiercę. Pamiętamy, że dyecezya łuckożytomierska nie zapomniała w dniu konsekracyi pasterza o dostojnym swoim ziomku: ks. Paweł Kamiński odprawił na jego intencyę Mszę Ś-tą, wysłano następnie mnóstwo powinszowań, z pomiędzy których wyróżniało się od seminaryum łucko-żytomierskiego, z dodaniem wspaniałego daru, w postaci kielicha, przyozdobionego prześlicznie wykonanymi wizerunkami czterech Ewangelistów, oraz w postaci korony cierniowej, krzyża, kotwicy, serca i godeł biskupich. Pamiętamy, z jakiem rozrzewnieniem alumni seminaryum łucko-żytomierskiego żegnali swego mistrza, bo mistrz ten był gotów oddać głowę swoją za prawdę, którą karmił uczniów a przyszłych kapłanów. Pamiętamy wreszcie pierwsze przemówienie Dostojnego pasterza, jako nowego rektora akademii duchownej. Powiedział wtedy pasterz:—Nauki duchowne, gruntownie i obszernie wykładane, zajmować powinny pierwsze miejsce; ale także, dziś zwłaszcza, wobec rozbratu, jaki istnieje pomiędzy naukami świeckiemi a religią, wobec mniemania, jakoby religia tamowała rozwój wiedzy, dziś przewodnikom dusz, do których także należy zwalczanie przewrotnych zasad, potrzebną jest znajomość zasad świeckich. Należy zatem w przedmiotach wykładanych gruntownie i bezstronnie rozwijać łączność religii z naukami świeckiemi.

Przypominamy dni tryumfu zasług Dostojnego pasterza, dla uświetnienia ważnej chwili objęcia przez niego stolicy łucko - żytomierskiej. Takich dni miał długi już szereg, a nierównie większy ma przed sobą.

Jego Ekscelencya ksiądz Jerzy hrabia Szembek,

biskup płocki.

Osieroconą od lat kilku stolicę płocką zajął J. E. ks. Jerzy hr. Szembek, Podolanin, urodzony w Ujściu, 14 czerwca 1851 r., z nieżyjących już dziś Józefa hr. Szembeka i Józefy z hr. Moszyńskich, małżonków ziemian, wnuk Józefa hr. Szembeka z Poremby, kapitana wojsk Napoleona i radcy byłego departamentu krakowskiego. Rodzice starali się dać synowi wychowanie najtroskliwsze, wykształcić go wszechstronnie, przeczuwając, jak wysokie stanowisko w świecie mu przypadnie. Ukończywszy szkoły średnie, udał się hr. Jerzy do Krakowa, do tamtejszego uniwersytetu, aby poznać i zbadać nauki prawne i historyczne, które potem jeszcze w innych uniwersytetach zagranicznych lepiej zgłębiał. Powołanie do świętego stanu duchownego uczuł przed jedenastoma laty. Uczuwszy, uprosił o błogosławieństwo J. E. ks. arcybiskupa Felińskiego i w puklerz duchowny zaopatrzony, udał się w daleką drogę, na wschodni kraniec Europy, aby tam w dyecezyi tyraspolskiej wstąpić do seminaryum duchownego, a ukończywszy je, pracować jako kapłan w tej dyecezyi, posiadającej bardzo niewielu przewodników duchownych. Jakoż już w r. 1893 rozpoczął pracę kapłańską, na stanowisku proboszcza w Saratowie. Do pracy zabrał się z zapałem, kierowany z początku doświadczonemi i światłemi radami ś. p. ks. rektora seminaryum i obecnego wice-regensa Antonowa, Gruzina rodem.

Parafia saratowska należy do ubogich, liczy zaledwie 4,400 wiernych, należących do różnych narodowości, Polacy jednak i Niemcy przeważają; obszar zajmuje wielki, dorównywa nim niektórym dyecezyom. Nietrzeba tłómaczyć, że zarząd taką parafią jest niezmiernie uciążliwy; dosyć będzie jeśli się powie, że doroczna jej wizytacya, po Wielkanocy, wymagała 6 tygodni czasu. Ksiądz Szembek wszakże nie zrażał się trudnościami; postanowił dokładnie poznać parafian swoich, ich potrzeby i braki, zaradzić jednym, usunąć drugie. Celu dopiął w zupełności. Obecnie, po ośmiu latach mozołów, duch religijny, pobożność, przywiązanie do Kościoła—to wszystko w wśród parafian znacznie postąpiło; nadto pozyskali oni instytucye, które dalszy rozwój tych spraw, tak dla katolickiego świata ważnych, zapewniają. Więc posiadają przy kościele parafialnym Towarzystwo dobroczynności (prezesem był ks. proboszcz Szembek), które daje potrzebującym zasiłki stałe i jednorazowe, utrzymuje stypendystów we własnem schronisku, zasila



Jego Ekscelencya ksiądz biskup

JERZY hr. SZEMBEK.

materyalnie szkółkę parafialną. Dalej, owocem zabiegów ks. proboszcza jest przytułek, fundowany przez Oczkina, dla uczczenia żony—katoliczki, Francuski rodem. Istniejąca przy kościele katolickim szkółka parafialna również jest dziełem ks. proboszcza i jemu byt zawdzięcza. Ks. proboszcz Szembek uregulował kazania i suplikacye, polskie i niemieckie naprzemian, przyozdobił kościół freskami, zaprosił na organistę kompozytora-muzyka, p. Surzyńskiego, utrzymywał w porządku wzorowym cmentarz grzebalny.

A trzeba wiedzieć, że w latach ostatnich ks. Szembek obok obowiązku proboszcza i dziekana, przy dwóch, ostatnio zaś przy jednym wikaryuszu, nieznającym języka polskiego, pełnił jeszcze obowiązki: profesora w seminaryum duchownem, nauczyciela w gimnazyach męskiem i żeńskiem, wreszcie redaktora czasopisma moralno - ludowego dla kolonistów niemieckich. Praca zda się nad siły, tylko wyjątkowe zdolności i silna wola podołać mogły temu wszystkiemu. Nic dziwnego, że parafianie czcili i kochali swego proboszcza-ojca, proboszcza-dobrodzieja, proboszcza-przyjaciela i gdy ich opuszczał, wręczyli mu adres oraz dar piękny. Adres ów odczytał na uroczystem zebraniu parafian dr. Ruszczykowski. Między innemi znajdowały się tam słowa:

„Cześć Ci, kapłanie, cześć Ci, człowieku, cześć Ci, sługo Boży! My cięższą od innych ponosimy stratę, albowiem w osobie Twojej tracimy jeszcze i rodaka. Niechże ten malutki upominek od parafian-rodaków będzie Ci, Czcigodny Pasterzu, dowodem naszego szczerego przywiązania i naszej ku Tobie wdzięczności. A kiedy staniesz na rodzinnej ziemi, owiany tchnieniem ukochanych pól i lasów, pamiętaj o nas, i pełniąc Świętą Ofiarę i błogosławiąc ludowi, błogosław też i nam, których wkrótce opuścisz, a którzy Cię żegnają tym starym i odczutym zwrotem mowy naszej: Szczęść Ci, Boże, Pasterzu, szczęść, Boże!“

Adres, podpisany przez parafian, ozdobiony jest malowidłem i oprawiony w skórę ze srebrnemi cyframi pasterza. Co zaś do daru, to jest nim kielich mszalny, patena i ampułki w ogniu złocone i prześlicznie rzeźbione. W górnej części kielicha znajdują się wizerunki 6 Apostołów, na postawie również 6 wizerunków i napis: „Czcigodnemu dziekanowi saratowskiemu, ks. J. hr. Szembekowi, parafianie-rodacy, d. 1 stycznia 1901 r.“ Cenny dar powstał ze składek Polaków, a zaprojektował go i urzeczywistnił p. Stanisław Roszkowski, który dla parafii saratowskiej bardzo wiele dobrego robi.

Ks. Szembeka do głębi serca wzruszył ten hołd dla niego niespodziewany. Przyjął go wdzięcznie, a odpowiedając na adres nadmienił, iż w dalekie strony przyjechał nie jako tułacz, aby się ukryć przed życiem; nie po dostojeństwa i zaszczyty, lecz świadomie, z go-

rącem pragnieniem pracowania dla ukochanych rodaków.—Bóg pobłogosławił pragnieniom moim—mówił dalej—ale jeżeli jest plon, to zasługa nie moja, jeno Pana Jezusa, który tej pracy pomagał, a także ś. p. rektora seminaryum i obecnego vice-regensa, ks. Antonowa, którzy kierowali pierwszymi krokami moimi i doświadczonem okiem wskazywali na braki i potrzeby parafii. Nowe związki, jakie zawrę z Kościołem, nie rozłączą mnie w uczuciu przywiązania i miłości ku wam, ale jak dzieci z pierwszego małżeństwa kocha się nieraz bardziej właśnie dlatego, że są pierwszemi, tak i wy, jako moje pierwsze dzieci duchowe, zapisaliście się głęboko w sercu mojem. Pamiętać o was i modlić się za was będę, abyście mieli kapłanów zarówno wyższych jak niższych według Słowa Bożego, abyście zwycięsko odpierali wszelkie pokusy ku złemu, abyście pozostali wierni Kościołowi Świętemu."

Dla uzupełnienia wizerunku Dostojnego pasterza powiemy jeszcze, że z upodobaniem zbiera i gromadzi stare rękopisy i druki. Takich rzadkości nieocenionych posiada wiele. Wielu członków rodziny Szembeków zasłynęło na różnych polach zasługi i pracy: więc Fryderyk Szembek, urodzony r. 1577, a zmarły r. 1644, był sławnym teologiem i chlubą Ojców Jezuitów; Michał Szembek, ur. r. 1697, zm. r. 1726 był biskupem sufraganem krakowskim; Franciszek, zm. r. 1728, był biskupem-sufraganem przemyskim; Kajetan, zm. r. 1808—opatem Cystersów, biskupem płockim, księciem pułtuskim, senatorem Księstwa Warszawskiego; Stanisław, zm. r. 1721—arcybiskupem gnieźnieńskim, słynął jako kaznodzieja; Jan-Krzysztof-Andrzej, zm. r. 1740, biskupem najprzód chełmskim, potem przemyskim, wkońcu warmijskim; Krzysztof-Antoni, zm. r. 1748, biskupem inflanckim, poznańskim, kujawskim, ostatnio zaś arcybiskupem gnieźnieńskim; Józef-Eustachy, zm. r. 1759, biskupem chełmskim, a potem płockim; Krzysztof-Hilary, zm. r. 1797, biskupem płockim, pisał dzieła naukowe; Franciszek, zm. r. 1693, kasztelanem sanockim i kamienieckim; Jan, zm. r. 1731, kanclerzem koronnym; Piotr, zm. r. 1866, generałem wojsk polskich. Zatem Dostojny pasterz, ksiądz hr. Jerzy, jest dziewiątym biskupem polskim z rodu Szembeków, a trzecim zasiadającym na stolicy płockiej.

Konsekracya Jego Dostojności odbyła się 30 czerwca, w Petersburgu, dopełnił jej Najdostojniejszy arcybiskup mohilowski, ks. Kłopotowski, w asystencyi biskupów: sejneńskiego, ks. Baranowskiego i łucko-żytomierskiego, ks. Niedziałkowskiego. W uroczystości nadto uczestniczyli: wysłańcy kapituły płockiej — ks. kanonik Nowowiejski, ks. kanonik Jarniński i ks. Floryański, regens seminaryum płockiego; wysłańcy dyecezyi płockiej —Józef hr. Szembek, p. Piwnicki, prezes dyrekcyi szczegółowej Towarzystwa kredytowego ziemskiego, p Józef Ostrowski, obywatel Płocka, i Woltański, włościanin z Pułtuskiego; człon-

kowie rodziny Pasterza: Adam hr. Szembek, brat rodzony, ziemianin z gubernii podolskiej, p. Eliza Czarnomska, siostra ojca Pasterza, Jerzy hr. Moszyński, brat przyrodni matki, Zygmuntowa hr. Szembekowa, oraz bracia stryjeczni Pasterza — Józef i Cezary; wreszcie uczestniczyło całe duchowieństwo petersburskie. O godzinie 10-ej punktualnie przed wejście główne kościoła Ś-tej Katarzyny zajechali Najdostojniejszy arcybiskup Kłopotowski, przybrany w purpurę i biskup Szembek, przybrany w fiolety; biskupi asystenci zajechali przed zakrystyę. Na progu kościoła arcybiskupa i biskupa Szembeka powitali proboszcz parafii S-tej Katarzyny, ks. Kluczewski, z wodą święconą i krzyżem, oraz kler liczny. Stąd, procesyonalnie, przy odgłosach hymnu „*Ecce Sacerdos*,“ wykonanego przez chór kościelny dostojnicy Kościoła udali się do presbyteryum; pomodliwszy się tam, biskup Szembek złożył w ręce arcybiskupa przysięgę rządową, następnie udał się z biskupami asystentami procesyonalnie do kaplicy Zwiastowania Najświętszej Panny, a arcybiskup, zasiadłszy na tronie w presbyteryum, przywdział szaty uroczyste. Teraz biskupi asystenci wprowadzają biskupa Szembeka, przybranego w kapę, do presbyteryum, a biskup Baranowski w imieniu Kościoła prosi arcybiskupa o dopełnienie aktu konsekracyi. Arcybiskup zapytuje o bulle Papieża, biskup Baranowski je składa, a księża kanonicy Nowowiejski i Jarniński je odczytują. Biskup Szembek składa wyznanie wiary, potem przysięgę Stolicy Apostolskiej, wreszcie składa egzamin biskupi, wyznaczony przez ceremoniał, całuje arcybiskupa w rękę i z nim razem zaczyna odprawiać Mszę Ś-tą. Po *Introit*, biskup Szembek udaje się z biskupami asystentami do kaplicy, zdejmuje kapę, przywdziewa uroczyste szaty biskupie i tam część Mszy do *Graduału* odprawia, podczas gdy arcybiskup to samo odprawia przy wielkim ołtarzu. Po *Graduale* biskupi-asystenci prowadzą biskupa konsekrowanego do presbyteryum, tu się odmawia Litania do Wszystkich Świętych, w czasie której wszyscy klęczą, a biskup konsekrowany krzyżem leży. Po Litanii arcybiskup zasiada przed ołtarzem, żegna trzykrotnie wraz z asystentami konsekrowanego, który wstaje i klęka przed arcybiskupem. Ten przykrywa mu głowę mszałem i wraz z biskupami-asystentami wkłada mu ręce na głowę, mówiąc: „Weźmij Ducha Swiętego.“ Potem, zdjąwszy mitrę, odmawia modlitwę konsekracyjną, wszyscy klękają, chór śpiewa „Przyjdź Duchu Święty.“ Arcybiskup namaszcza głowę i ręce biskupa konsekrowanego, wciąż klęczącego przed nim z mszałem na barkach, związuje mu dłonie przepaską lnianą, podaje pastorał, którego biskup konsekrowany dotyka związanemi dłońmi, wkłada mu na palec pierścień biskupi, wreszcie zdejmuje z jego barków mszał i obdarza go, wraz z biskupami asystentami, „pocałunkiem pokoju.“

Biskup Szembek wraca z asystentami do kaplicy, gdzie rozwiązują mu ręce i wycierają miejsca namaszczone. Odprawia dalszy ciąg przerwanej Mszy, to jest *Offertorium*, co również arcybiskup przy wielkim ołtarzu czyni. Biskup Szembek wraca przed wielki ołtarz, poprzedzany przez kanoników Nowowiejskiego i Jarnińskiego, kroczących z zapalonemi świecami, za którymi dążą dyecezyanie płoccy, niosąc dwa bochenki chleba, pozłacany i posrebrzany, oraz dwie baryłeczki wina. Dary te składa biskup Szembek arcybiskupowi. Następnie arcybiskup i biskup Szembek odprawiają dalszy ciąg Mszy razem przy wielkim ołtarzu. Po *Benedictio*, arcybiskup błogosławi mitrę biskupa Szembeka, kładzie mu ją na głowę, wręcza mu rękawiczki i pastorał. Hymn „Ciebie Boga Chwalimy,“ „*Ad multos annos*,“ błogosławieństwo, które biskup Szembek udzielił wszystkim, podziękowanie, składane przez biskupa Szembeka Najdostojniejszemu arcybiskupowi—zakończyły pełną rzewnego majestatu uroczystość.

Objęcie stolicy płockiej odbyło się dnia 7 lipca. Dyecezyanie ściągnęli tłumnie, ze wszystkich stron na to święto, na które z utęsknieniem długo czekali. Nieprzejrzane rzesze z zapałem i łzami radości witały swego Pasterza, przybywającego Wisłą, na statku parowym. Miasto i katedra przystrojone były okazale. Dostojny pasterz był widocznie wzruszony gorącem przyjęciem, mówiło o tem jego oblicze, a zresztą otwarcie to wyraził. Płock od bardzo dawna nie doznawał takich podniosłych i serdecznych wzruszeń.

*
* *

Mówiąc o Płocku, powiemy cośkolwiek o dziejach tego starożytnego biskupstwa.

Kronikarz Długosz utrzymuje, że założone ono zostało zaraz po zaprowadzeniu wiary chrześcijańskiej w Polsce, a więc za króla Mieczysława I-go. Pierwszym biskupem miał być Angelotus, który zasiadł na stolicy biskupiej r. 866. Inni dziejopisowie natomiast twierdzą, że biskupstwo w Płocku było ustanowione dopiero za Bolesława Chrobrego i było zwane mazowieckiem. Istnienie biskupstwa płockiego jest pewnem dopiero za króla Kazimierza Odnowiciela, siedział wtedy na stolicy płockiej biskup Paschalis.

Trzeba nadmienić, że za księstwa Mazowieckiego biskupstwo płockie należało do największych, a po włączeniu księstwa Mazowieckiego do Polski, biskup płocki zajmował w senacie miejsce szóste, bywał kanclerzem i prymasem państwa. Posiada to biskupstwo dwie sufraganie, powstałe przed 600 laty; sufragani noszą tytuł biskupów laudemońskich, zamieszkują w Płocku i Pułtusku. Kapituła składa

się: z proboszcza, dwóch archidyakonów, scholastyka, kantora, kustosza i ośmiu kanoników. Herb kapituły tak się przedstawia: Najświętsza Panna, trzymająca Dzieciątko, stoi w płaszczu niebieskim przy księżycu, pod którym jaśnieje herb Kotwicz. Dzieciątko ma twarz zwróconą na prawo i ręce jakby do uścisku wyciągnięte.

Według Długosza, na stolicy płockiej zasiadali kolejno biskupi: Angelotus, Marcyalis, Marcin, Albinus, Paschalis, Marek, Stefan, Filip, Szymon z Gepłówki, Aleksander ze Szreńska, Werner, zdradziecko zabity przez Bolestę, kasztelana wizkiego. Z biskupów późniejszych na szczególne wyróżnienie zasługują: Henryk ks. mazowiecki, syn Ziemowita III-go, otruty r. 1390; Kazimierz ks. mazowiecki, um. r. 1480; królewicz Karol Ferdynand, syn Zygmunta III-go, um. r. 1655; Józef-Eustachy Szembek, um. r. 1759; Michał ks. Jerzy Poniatowski, brat króla Stanisława Augusta; Krzysztof-Hilary Szembek, um. r. 1797; Onufry-Kajetan Szembek, um. r. 1808; Tomasz Ostaszewski, um. r. 1817; Adam-Michał Prażmowski, um. r. 1836; Franciszek Pawłowski, um. r. 1852; wreszcie: Teofil Chościak Popiel, obecnie arcybiskup warszawski, Kacper Borowski, Henryk Kossowski, Michał Nowodworski i Albin Symon. Dzieje biskupstwa płockiego są pełne chwały, pełne zasług dla Kościoła, wiernych i kraju. Jego Dostojność ks. Jerzy hr. biskup Szembek chwały i zasług tych przysporzy.

Ks. Mar. L.



SKARBIEC JASNOGÓRSKI.

Widzenie Konstantyna.

Za cesarza Dyoklecyana wznowiło się w Państwie Rzymskiem prześladowanie chrześcijan, a było ono okrutne i powszechne. W dwóch tylko prowincyach rzymskich, mianowicie w Galii i Hiszpanii, gdzie z ramienia cesarza zarządzał Konstancyusz Chlorus, chrześcijanie bezpiecznie wyznawali swoją wiarę, gdyż sam ten wielkorządca ich ochraniał, a nawet biskupów chrześcijańskich sadzał przy swoim stole. W ślady szlachetnego ojca poszedł syn Konstantyn. Ten po ojcu objął władzę nad Galią i Hiszpanią, później nieco i Brytanii zarząd mu przypadł. Wszyscy inni wielkorządcy, więc: Maksymin Daza, który zarządzał Syryą i Egiptem, Galeryusz, który zarządzał Nikomedyą, Licyniusz, który zarządzał Tracyą, Grecyą i ziemiami naddunajskiemi, Maksencyusz, wielkorządca Italii (dzisiejszych Włoch), otóż wszyscy ci zastępcy cesarza dręczyli i prześladowali chrześcijan, z krwiożerczością dzikich bestyj pastwili się nad nimi, tylko Konstantyn, pomny przykładu ojca, acz poganin, nie czynił chrześcijanom nic złego, przeczuwając, że ich Bóg jest prawdziwym Bogiem, Panem Nieba i ziemi oraz wszystkich rzeczy. To też Bóg otaczał opieką tego pogańskiego męża, co nawet było widoczne, bo gdy w innych prowincyach panował zamęt i nędza, Galia, Brytania i Hiszpania pod zarządem Konstantyna kwitły, rosły w pomyślność. Zbiegiem czasu, Łaska Boża zaczęła spływać na Konstantyna coraz widoczniej: wszyscy prześladowcy chrześcijan, owi zastępcy cesarza i sam cezar Dyoklecyan, ponieśli przez Wyroki Nieba srogą karę, Konstantyn zaś został wywyższony tak, że sława jego rozbrzmiewa po dziś dzień i rozbrzmiewać będzie po wszystkie wieki. Obaczmy, jak zostali ukarani prześladowcy chrześcijan.

SKARBIEC JASNOGÓRSKI.



NAWRÓCENIE KONSTANTYNA.
(dar Denhoffa.)

Każdy z wielkorządców dążył do osiągnięcia najwyższej władzy, do odebrania władzy Dyoklecyanowi i zapanowania samemu nad całem państwem Rzymskiem, to jest niemal nad całym światem, gdyż wówczas cały świat znany należał do Rzymu. Dążył do tego również i Konstantyn. Ale kto chciał tego celu dopiąć, musiał przedewszystkiem Rzym opanować, wszyscy tedy mieli oczy zwrócone na Rzym, którym, jak wiemy, zarządzał Maksencyusz, a jeden usiłował przeszkodzić drugiemu.

Tu musimy powiedzieć, że oprócz wymienionych wielkorządców, był jeszcze jeden, Maksymian, ojciec Maksencyusza, główny zastępca Dyoklecyana, który połową całą Państwa Rzymskiego zarządzał. Człowiek ten zasłynął jako okrutnik. Zdarzyło się razu pewnego, że postanowił wytępić chrześcijan, mieszkających w Galii, którzy, z powodu nadzwyczajnego ucisku, połączyli się z Baguadami i przeciwko Rzymowi broń podnieśli. Maksymian zwołał wojsko i udał się do Galii (dzisiejsza Francya). Wszystkie oddziały, czyli jak je wówczas zwano *legie*, poszły za nim, jeden tylko się nie stawił, złożony z samych chrześcijan. Zwał się ten oddział *tebaidzkim*, gdyż został zebrany z mieszkańców Tebaidy, prowincyi Egiptu górnego. Nie stawił się ten oddział dlatego, gdyż Maksymian kazał wszystkim żołnierzom złożyć ofiarę bałwochwalczą, żołnierze zaś tego uczynić, będąc chrześcijanami, nie chcieli, a tembardziej nie chcieli walczyć ze swoimi spółwyznawcami. Uniesiony gniewem Maksymian kazał zdziesiątkować legię, to jest pozabijać co dziesiątego żołnierza. I to nie pomogło. Okrutnik kazał powtórnie zdziesiątkować legię. Wtedy żołnierze napisali do niego list następującej treści:

„Każesz nam szukać chrześcijan na kaźń: nie potrzeba tego, bo masz nas, którzy wyznajemy Boga Ojca, Stwórcę wszech rzeczy, i w Syna Jego, jako w Boga, wierzymy. Widzieliśmy, jak mordowano towarzyszów naszych; krew ich nas skropiła, a jednak ani nad śmiercią, ani nad pogrzebem ich nie płakaliśmy, ani ubolewali. Owszem, cieszyliśmy się, że byli godni cierpieć dla Pana Boga swego. I teraz, chociaż jesteśmy do ostateczności przywiedzeni, nie buntujemy się. Nawet rozpacz nie uzbroiła nas przeciw tobie! Mamy broń w ręku, a nie opieramy się, bo wolimy umrzeć, niż zabijać, zginąć niewinnymi, niż żyć w grzechu. Cokolwiek przeciwko nam postanowisz, jakiejkolwiek siły na nas użyjesz, — gotowi jesteśmy pójść na ogień, na męki, pod miecz! Wyznajemy, że chrześcijanami jesteśmy i chrześcijan mordować nie będziemy.“

Legia liczyła 6,000 żołnierzy, wszyscy złożyli broń i wydali się na męki, bo rozwścieczony Maksymian kazał ich ścigać wszędzie, wytępić bez miłosierdzia. Jednocześnie mordował chrzescijan w Galii. Zginęli

wówczas Krispin i Krispijan, znakomici obywatele rzymscy, którzy przybyli do Galii jako misyonarze, aby pomiędzy ubogim ludem tamtejszym szerzyć wiarę Chrystusa Pana. Porzucili bogactwa, wyuczyli się rzemiosła szewckiego i w ten sposób zarabiali na życie. Kościół zaliczył ich w poczet Świętych Pańskich, a szewcy za Patronów swego rzemiosła ich obrali.

Takim okrutnikiem był Maksymian, ojciec Maksencyusza, a teść Konstantyna.

Owóż Maksymian pierwszy został ukarany za prześladowanie chrześcijan. Widząc, że Konstantyn zamyśla o zagarnięciu Rzymu, postanowił go zamordować. Zażądał tedy od Fausty, żony Konstantyna a córki swojej, żeby uczestniczyła w zbrodni. Miała ona tylko na jedną noc sypialnię Konstantyna pozostawić otwartą. Ale Fausta zawiadomiła męża o niebezpieczeństwie, ten zaś w łożu swojem umieścił niewolnika, którego zabił Maksymian. Gdy Maksymian, sądząc, że się pozbył zięcia, wychodził z sypialni, z krwią ociekającym mieczem, zastąpił mu drogę Konstantyn z uzbrojonym ludem.

— Zbrodnia się nie udała!—rzekł do osłupiałego teścia.—Wiedziałem o wszystkiem i zapobiegłem niecnym zamysłom twoim. Ja żyję i żyć będę, lecz ty umrzesz natychmiast. Robię ci łaskę i pozwalam wybrać rodzaj śmierci. Wybieraj tedy!

— Dajcie mi powróz... — mruknął Maksymian ponuro, a gdy mu dano, sam się obwiesił.

Drugi z kolei poniósł za prześladowanie chrześcijan karę Galeryusz. Zapadł on na straszliwą chorobę: wnętrzności jego trawił ogień iście piekielny, ciało okryło się ranami, których nie można było zagoić, w ranach gnieździły się roje robactwa. Taka woń wstrętna rozchodziła się z tych ran, że lekarzy trzeba było siłą sprowadzać do łoża chorego. Męczył się tak cały rok. W końcu zaczął wołać, że odbuduje kościół w Nikomedyi i chrześcijan prześladować nie będzie. Jakoż podpisał edykt (rozporządzenie) pozwalający chrześcijanom wyznawać wiarę swoją, a w kilka dni potem śmierć uwolniła go od cierpień.

Gdy się to dzieje, Konstantyn postanowił na Rzym uderzyć. Połączył się z Licyniuszem, który wtedy jeszcze się krwią chrześcijańską nie splamił, zagrożony zaś Maksencyusz zawarł przymierze z Maksyminem Dazą, a otoczywszy się wróżbitami i czarodziejami, oczekiwał na przeciwnika w Rzymie. Konstantyn jednak, zanim stanowczy krok uczynił, mocno się nad nim zastanawiał. Rozważał: czy pójdą za nim jego żołnierze? Wątpliwość nasunęli mu dowódcy, którym ta wyprawa wydała się nazbyt śmiałą i wróżkowie, którzy utrzymywali, że bogi jej nie pochwalają. Troska opanowała duszę Konstantyna, zrozumiał, że bez wyższej pomocy zwycięstwa spodziewać się nie może, rozmyślał

tedy, któremuby z bogów powierzyć swoją sprawę? Dręczony niepewnością, przypomniał sobie, że cesarzowie i ich namiestnicy, którzy pogańskim bogom składali ofiary, zostali pomordowani, gdy tymczasem ojciec jego, który chociaż nie wyznawał, ale czcił Jedynego Boga, był szczęśliwy całe życie. Zatem i czarów Maksencyusza nie zmogą bogowie pogańscy, tylko Bóg chrześcijan może mu dopomódz. Zwrócił się więc do Boga Jedynego, prosił Go kornie, żeby mu się dał poznać i dopomódz w przedsięwzięciu. Bóg wysłuchał jego prośby.

Poleciwszy się Bogu chrześcijan, wyruszył Konstantyn z wojskiem ku Rzymowi. Nie przekroczył jeszcze granic Galii, gdy dnia pewnego, po południu, w czasie pochodu, zarówno on sam, jak i wojsko jego, spostrzegł na niebie szczególne zjawisko. Oto po nad słońcem ukazał się krzyż, ze światła utworzony, a dokoła niego napis: *In hoc signo vinces* (W tym, pod tym znakiem zwyciężysz). Zdumieli się wszyscy. Konstantyn atoli nie zrozumiał widzenia, zastanawiał się więc, coby ono znaczyć mogło. Noc tajemnicę rozwiązała, w nocy bowiem ukazał mu się Pan Jezus, polecił przygotować sztandar, na podobieństwo widzenia, i używać go w bitwach. Zerwał się Konstantyn z łoża, opowiedział przyjaciołom widzenie i o radę ich pytał. Odpowiedzieli, że trzeba cudownego polecenia usłuchać. Niezwłocznie więc zwołał złotników i malarzy, nakreślił im rysunek krzyża, widzianego na niebie, i kazał według niego zrobić sztandar. Sztandar ów nazwany potem *Labarum*, tak się przedstawiał: Drzewce, a raczej dzida, złotą blachą okowana, miała w poprzek drążek, co razem tworzyło znak krzyża. Z tego drążka poprzecznego spadała zasłona purpurowa, bogato jedwabiem i złotem haftowana, a u jej brzegu znajdowały się popiersia cesarza i jego dzieci. Na wierzchołku drzewa jaśniała korona złota, drogimi kamieniami sadzona, w środku zaś tej korony widniały splecione dwie początkowe, greckie litery imienia Pana Jezusa:

X P (Chr.)

Chorągwi tej używał odtąd Konstantyn we wszystkich bitwach, jako pewnego znaku zwycięstwa. Pięćdziesięciu żołnierzy, ze straży przybocznej, odznaczających się walecznością, siłą i życiem cnotliwem, przeznaczył wyłącznie do jej obrony i noszenia. Tego, kto ów sztandar trzymał, nawet w największem zamieszaniu wojny pocisk, ani cios nieprzyjacielski nie raził. W której stronie ukazał się sztandar krzyża, tam nieprzyjaciele się rozstępywali i pierzchali w ucieczce. Konstantyn, przekonawszy się o tem, kazał go zawsze nieść tam, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo i nie wątpił o zwycięstwie, bo żołnierzy widok

tego znaku ożywiał nadzwyczajnem męstwem. Następcy Konstantyna przyjęli *Labarum* jako znak cesarstwa.

Idźmy jednak za Konstantynem ku Rzymowi.

Gdy już *Labarum* było gotowe, wojsko szybko się posuwało. Zdobyto szturmem Suzę; pod Turynem wojsko Maksencyusza pierzchło, a miasto otworzyło bramy zwycięzcy; to samo uczynił Medyolan, Brescia i Werona. Droga do Rzymu była otwarta. Niedaleko Rzymu Konstantyn miał drugie widzenie: wówczas Pan Jezus mu polecił, aby żołnierze na tarczach mieli znak krzyża. Kiedy Konstantyn przybył nad Tyber, Maksencyusz obchodził szóstą rocznicę swoich rządów igrzyskami w cyrku. Naraz donoszą mu, że nieprzyjaciel rozpoczął bitwę pod miastem.

— Więc pójdę, aby oczyma własnemi widzieć klęskę tego groźnego wroga!—rzekł ze śmiechem Maksencyusz.

Ale zamiast tego zobaczył własną armię pierzchającą. Żołnierstwo strwożone tłoczyło się na mostach, przerzuconych przez Tyber, najbardziej zaś na moście wspartym o statki. Nacisk był tak silny, że most ów załamał się i wszyscy, którzy się na nim znajdowali, w nurtach rzeki śmierć znaleźli. Pomiędzy nimi znalazł się także Maksencyusz.

Z niewypowiedzianą radością przyjmowano w Rzymie Konstantyna, chociaż wkraczał do tego pogańskiego jeszcze miasta pod znakiem krzyża, bo wiedziano, że przynosi z sobą pokój, o czem świadczyła szczęśliwa pod jego rządami Galia, że przynosi z sobą łagodność i pojednanie. Jakoż Konstantyn nawet stronników Maksencyusza nie karał, pozostawił ich na urzędach, wypędził tylko lub śmiercią ukarał gnębicieli ludu. Następnie wypuścił z więzienia niewinnie tam trzymanych, niesłusznie wygnanym miasto otworzył, wydarte mienia pozwracał. Znikł ucisk, ustało bezmyślne marnotrawstwo grosza publicznego, rozumną troskliwością otoczono wdowy i sieroty. Urzędownie poganizm jeszcze się trzymał, ale Kostantyn, chociaż dopiero na łożu śmierci Chrzest Ś-ty przyjął, w duszy był chrześcijaninem i nie uczestniczył w obrzędach pogańskich. Od chwili zajęcia Rzymu biskupów i Pismo Ś-te za nieodstępnych miał towarzyszy. Wkrótce na łono Kościoła przeszły: Konstancya, jego siostra przyrodnia, i małżonka Fausta, a w niespełna rok po zdobyciu Rzymu, ogłoszony został edykt, który nadawał chrześcijanom zupełną swobodę wyznawania religii i nakazywał zwrócić im zabrane kościoły oraz majętności.

W tym czasie umarł, z trucizny czy zgryzoty, Dyoklecyan, potem przyszła kolej na innego prześladowcę chrześcijan, na Maksymina Dazę. Rozpoczął on wojnę z Licyniuszem, a zwyciężony, zbiegł do Tarsu w przebraniu niewolnika i tam widząc, że się przed zemstą Licyniusza uchronić nie zdoła, zażył truciznę. Przez cztery dni nurtowała w nim

trucizna, sprawiając niewypowiedziane męczarnie; tarzał się po ziemi z bólu, piasek połykał, bił głową o ziemię, oślepł. Niekiedy zdawało mu się, że widzi Boga, z biało przybranymi Aniołami, wzywającego go na sąd. Wył, ryczał, pienił się, modlił do Chrystusa, przeklinał swoje zbrodnie, tysiące obietnic czynił... I tak oto zmarniał wróg wiary prawdziwej.

Pozostał jeszcze Licyniusz, gdyż i on stał się zawziętym prześladowcą chrześcijan. Wiemy, że przez czas pewien szedł ręka w rękę z Konstantynem, lecz związek między nimi długo utrzymać się nie mógł, bo i jeden i drugi chciał zostać samowładcą. Zresztą charaktery ich się nie zgadzały. Przyszło tedy do wojny. Szczęście sprzyjało Konstantynowi, wszyscy pragnęli go widzieć przy władzy niepodzielnej, żołnierze jego walczyli z zapałem, i świetne pod znakiem krzyża odnosili zwycięstwa. To wszystko drażniło i do wściekłości doprowadzało Licyniusza, który widząc, że nad Konstantynem czuwa Bóg prawdziwy, oraz widząc cześć i miłość, jaką go otaczają chrześcijanie, mścił się na nich, udręczał ich w sposób nieludzki.

Wojna ciągnęła się długo, to przerywana, to wznawiana. Wreszcie chwila rozprawy ostatecznej nadejść musiała. Obóz Licyniusza roił się od czarowników egipskich, tłómaczy snów i wróżbitów, którzy dokonywali praktyk szatańskich i składali ofiary bogom pogańskim, przyrzekając im, że Licyniusz wytępi wszystkich chrześcijan i ich wiarę nazawsze, byleby mu oni, ci bogowie, do zwycięstwa pomogli. W obozie Konstantyna modlili się biskupi i nawet żołnierze—poganie odmawiali modlitwę do Boga Najwyższego, Ojca i Pana wszystkich ludzi, ułożoną przez samego Konstantyna. Dnia 18 września 323 r. stoczono walną bitwę, Konstantyn swemu wojsku dał hasło „Bóg Zbawiciel“. Licyniusz doznał zupełnej porażki i sam wpadł w ręce zwycięscy, który go stracić kazał.

Chrześcijanie odetchnęli swobodniej, gdy uwolnieni zostali od ostatniego prześladowcy. Konstantyn objął panowanie nad całem Państwem Rzymskiem, roztoczył nad niem opiekę, gorliwie zaczął pracować nad przeistoczeniem życia pogańskiego w chrześcijańskie. Ale nie była to praca łatwa, gdyż pogaństwo głęboko jeszcze tkwiło w świecie ówczesnym. Konstantyn jednak przeczuwał i rozumiał, że przeistoczenia tego dokonać trzeba, że tylko doprowadzenie ludów do jednej, prawdziwej wiary może im dać szczęście a osłabionemu państwu dawną potęgę przywrócić. Rozumiał to doskonale, lecz musiał postępować ostrożnie, żeby nie oburzyć pogan, którzy jeszcze byli potężni. To też w edykcie, wydanym po porażce Licyniusza, powiedział, że poganie na równi z chrześcijanami mogą używać dobrodziejstw pokoju, wyznawać swoją wiarę. W tym edykcie zwraca się do Boga i tak kończy: „Ci, którzy opierają się prawu Twojemu i pragną świątynię błędu zachować, nie-

chaj to czynią wedle woli swojej, my zaś będziemy zamieszkiwali promieniejący przybytek prawdy, jaki dla nas zgotowałeś.”

Lecz z dniem każdym niemal serce Konstantyna przywiązywało się coraz bardziej do chrześcijaństwa. Nie podtrzymywał upadających świątyń pogańskich, kosztowne ozdoby przenosił z nich do kościołów chrześcijańskich, przetapiał złote i srebrne posągi bogów na krzyże, duchowieństwo i kościoły chrześcijańskie uwolnił od wszelkich podatków, kapłanom chrześcijańskim wyznaczył zapomogi z majątków miejskich, obok sędziów cesarskich zasiadali biskupi, jako sędziowie nietylko spraw duchownych, ale i czysto świeckich. Nadto Konstantyn upodobał sobie czytanie ksiąg świętych, zgromadzał w pałacu swojem duchowieństwo i z niem rozważał sprawy religii chrześcijańskiej, a gdy zaczęło grasować odczepieństwo, zwołał w połowie maja 325 r. do Nicei, miasta w Azyi Mniejszej położonego, *pierwszy sobór powszechny*. Było to zdarzenie niezmiernie dla Kościoła katolickiego ważne.

Trudno wypowiedzieć, jak radosne, ile pociechy przynoszące było to zapoznanie się spólne tylu biskupów, z których niejeden głośną sobie już zdobył sławę w czasach prześladowania... Jak wspaniały i rozrzewniający musiał być widok, kiedy Pafnucy z Tebaidy, o jednem oku, bo drugie prześladowcy mu wykłuli, z połamanemi przez pogan stawami u lewej nogi, powoli wśród zgromadzenia 318 towarzyszy się przesuwał; kiedy Paweł z nowej Cezarei podniósł do błogosławieństwa rękę, okaleczoną rozpalonem żelazem; kiedy zasiadło obok siebie tylu Ojców Kościoła, którzy na ciele swojem widoczne mieli ślady cierpień, za wiarę Chrystusową poniesionych...

Trwając niezmiennie w pracy przeistaczania świata pogańskiego w chrześcijański, Konstantyn postanowił główną stolicę Państwa przenieść z Rzymu gdzieindziej, ponieważ Rzym był ogniskiem starożytnego pogaństwa. Uwagę jego zwróciło Byzancyum, odwieczne, świetne niegdyś miasto, leżące nad odnogą morską, dzielącą Europę od Azyi, gdzie morze Marmara łączy się z Morzem Czarnem. Tę miejscowość obrał na nową stolicę. Wybór istotnie był szczęśliwy, gdyż nietylko położenie pomiędzy dwiema częściami świata i dwoma morzami, ułatwiającemi żeglugę, nietylko rozkoszna okolica i klimat łagodny przemawiały za nią, lecz z tej miejscowości mógł Konstantyn łatwo śledzić poruszenia nieprzyjaciół państwa, czego mieszkając w Rzymie, czynić nie mógł. Kamień węgielny pod nową stolicę położono 4 listopada 326 r., sam Konstantyn nakreślił włócznią linię muru obwodowego. Dnia 11 maja 330 r. budowa miasta, a przynajmniej głównych jego części, była skończona, nastąpiło uroczyste poświęcenie dzieła. Przy budowie nie szczędzono kosztów; 60 tysięcy funtów złota wydano na obwarowanie i przyozdobienie miasta wspaniałemi gmachami, zewsząd

zabierano dzieła sztuki, aby niemi nową stolicę upiększyć. Nowa ta siedziba cesarza była miastem nawskroś chrześcijańskiem, wszędzie jaśniał krzyż, wszędzie wznosiły się kościoły chrześcijańskie, pogańskiej świątyni ani znaku. Oddano ją w opiekę Zbawicielowi Ukrzyżowanemu, a posągi Konstantyna i matki jego Heleny, wzniesione na placu publicznym, również trzymały krzyże w rękach. Cesarz taką cześć czuł dla Chrystusa, że w najpiękniejszych pokojach pałacu swego kazał umieścić na suficie krzyż ze złota i drogich kamieni. Z początku nową stolicę nazwać chciano Nowym-Rzymem, dano jej wszakże nazwę *Konstantynopol*, co po grecku znaczy „miasto Konstantyna.“

Konstantyn umarł 21 maja 337 r.; Kościół katolicki dał mu przydomek *Wielkiego*, bo wielkie zasługi dla wiary chrześcijańskiej położył. Wierzył głęboko w naukę Chrystusa i dla jej rozszerzenia wszystko gotów był uczynić. Religia chrześcijańska nie stała się jeszcze za jego rządów panującą, do tej godności podniósł ją Teodozyusz Wielki w r. 379, ale Konstantyn drogę mu utorował. Chociaż zatem Konstantyn miał wady, chociaż błądził nieraz, ze względu jednak na niepożyte jego dla wiary Chrystusa, dla Kościoła katolickiego zasługi, można mu te błędy przebaczyć.

*

* *

Widzenie Konstantyna, odtworzone w pięknem, wysokiej wartości dziele sztuki, wyciśnięte na srebrnej blasze pozłacanej, można oglądać w skarbcu na Jasnej-Górze. Podobiznę tego dzieła na rysunku załączamy. Mamy tu Konstantyna i jego wojsko zdumione zjawieniem się krzyża świetlanego na niebie. Dla zwiedzających skarbiec opis nasz będzie jasnem wytłómaczeniem znaczenia tej cennej pamiątki.



CUDA

Matki Boskiej Częstochowskiej.

Wczytując się w księgę, opisującą cuda i łaski Najświętszej Matki i Królowej Częstochowskiej, czytelnik zdumieć się musi nad ich niezliczoną ilością, podziwiać dobroć Tej Pocieszycielki strapionych, Która łzy ociera, boleść koi, a za ufność i wiarę obdarzała i obdarza dziatki swoje łaskami nadzwyczajnemi.

To niezliczone i nieustanne szafarstwo łaski Przeczystej Bogarodzicy na Jasnej Górze wydobywa z serca tę wzniosłą modlitwę do Najświętszej Panny, którą Dante, wielki poeta chrześcijański, swoją podróż po Piekle, Czyśću i Niebie zakończył:

„Dziewico Matko, Córko Syna Twego,
Korna i wyższa nad stworzenie wszelkie,
Przedwiecznej myśli niewzruszony celu,
Tyś to jest, Która tak uszlachetniła
Naturę ludzką, że Najwyższy Twórca
Sam nie pogardził zostać jej utworem.
W żywocie Twoim znowu się zatliła
Miłość, pod której żarem się rozwinął
Kwiat ten tak cudny w tym pokoju wiecznym.
Ty miłosierdzia południowym słońcem
Jesteś tu dla nas, a dla śmiertelników
Jesteś tam żywą nadziei krynicą!
Niewiasto, jesteś tak wielka, tak można,
Że ten, kto łaski pragnie, a do Ciebie
Się nie ucieka, ten zaiste pragnie,
By żądza jego bez skrzydeł latała.“

ROK 1390.

Wielkiej łaski doznał, cudu niesłychanego na Jasnej Górze — Klemens Borzyma. Synek-jedynak utonął mu w sadzawce. Stroskani rodzice długo szukali ukochanego dziecka, aż wreszcie o zachodzie słońca wydobyli z wody martwe jego zwłoki. Wszelkie środki ratunku okazały się bezkuteczne, przed płaczącymi rodzicami leżał trup, a w nim cała ich nadzieja. Borzyma już był słyszał o łaskach Najświętszej Bogarodzicy na Jasnej Górze, kilka lat bowiem dopiero minęło od sprowadzenia tutaj cudownego obrazu przez księcia Opolskiego, a cudowne wydarzenie, dla którego tu, a nie gdzieindziej pozostać musiał Obraz Matki Boskiej, lotem błyskawicy obiegło kraj cały. Borzymowie więc tu, do Tego Cudownego miejsca, się zwrócili. W gorących modłach polecił Klemens martwe zwłoki dziecka Matce Bożej Częstochowskiej, ale prośba skutku nie odniosła. Mimo to nie upada na duchu, pociesza stroskaną małżonkę; z jej pomocą kładzie dziecię na wóz i przez dwa dni wraz z żoną, nie jedząc, ani pijąc, boso do Częstochowy podąża. Przybyli tu podczas uroczystej sumy w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i przed cudownym Obrazem zwłoki swego jedynaka złożyli. Lud zgromadzony wzbrania Borzymie domagania się tak wielkiego cudu, tem bardziej, że pod wpływem upałów sierpniowych nastąpił już rozkład ciała; miłość jednak rodzicielska ożywiona nie widzi w tem niepodobieństwa, wie, że wiara żywa nawet góry przenosi. Borzyma nie zważa na czynione mu uwagi, załamuje ręce i błaga:

— „O! Matko Święta, przyszedłem do Ciebie, w boleści serca mojego! Syn Twój wskrzesił młodzieniaszka z Naim, a choć jam tego nie godzien, — bom grzesznik — jednak Ty wszystko możesz u Syna miłosiernego. Zlituj się, zlituj, Matko droga! proszę i żebrzę miłosierdzia, Ty mnie pocieszysz, ach! wierzę w to, Matko Swięta!“

Borzyma podwaja gorące modlitwy, aż oto, gdy w Magnificat na nieszporze zaśpiewano: — „A miłosierdzie jego od pokolenia do pokolenia bojącym się go“, młodzieniec ożył i z ziemi powstaje!

Na widok tak wielkiego cudu jęk i płacz powstał wśród zgromadzonych, uwielbiających niewysłowione miłosierdzie Najświętszej Panny, wszyscy też, jako naoczni świadkowie, stanęli, aby zaświadczyć o tym niesłychanym cudzie.

Przebiegnij myślą po za wieki stare,
Ujrzysz tam silną naszych ojców wiarę
I ten cud wielki, co doznał Borzyma,
Bo kto tak wierzy, ten łaskę otrzyma.

ROK 1392.

Nadworny malarz króla Władysława Jagiełły, Jakób Wężyk utracił zupełnie wzrok i długo kalectwo to znosił. Cuda wielkie Najświętszej Częstochowskiej Bogorodzicy szybko rozeszły się po kraju, usłyszał też o nich i Wężyk i z Wilna, w celu uproszenia sobie wzroku, postanowił odbyć pieszo pielgrzymkę do Częstochowy. Kiedy uskutecznił swój zamiar i ociemniały stanął przed cudownym obrazem Najświętszej Panny, Matka Boża, nagradzając jego żywą wiarę, w czasie gorącej modlitwy wzrok mu przywróciła. Uszczęśliwiony tą łaską, ślubuje, że dla pomnożenia czci Matki Boskiej Częstochowskiej, obraz podobny wymaluje i umieści go w kościele w Sokalu. Licząc na swoje zdolności, wpatrzył się dobrze w cudowny obraz Najświętszej Panny i powrócił do Wilna w tem przekonaniu, że obraz z pamięci wymaluje. Lecz gdy chciał pracę swoją na przygotowanem płótnie rozpocząć, przyszedł do przekonania, że zapomniał, jak cudowny obraz wygląda. Drugi raz przeto odbywa podróż do Częstochowy, odprawia spowiedź, Komunię Swiętą przyjmuje i z całem wysiłkiem oczu wpatruje się w obraz, zdejmuje nawet szkic z niego i prosi Bogarodzicę o udzielenie łaski do uskutecznienia swojego ślubu. Bardzo jednak zmartwiony został, gdy po powrocie do domu, obrazu w żaden sposób odmalować nie mógł, mimo talentu, jakim go Stwórca obdarzył i jakim zajaśniał na dworze królewskim. Upokorzony, po raz trzeci na Jasną Górę pielgrzymkę odbywa, z której powróciwszy, obraz w zamkniętem przez siebie mieszkaniu, z wielkiem swojem i wszystkich obecnych zdziwieniem cudownie ukończony znalazł, a przed nim świecę gorejącą. Obraz ten odtąd cześć należną odbiera w Sokalu.

Gdy cię Bóg, bracie, w talent uposażył,
Proś Go, aby cię pokorą obdarzył,
Bo pycha zaćmi największe talenta,
Pokora wzmocni, pouczy, bo święta!

St. W.





CHRYSTUS PAN PRZED PIŁATEM.
(rzeźba Piusa Welońskiego)

Nowiny z Częstochowy.

Rządy przewielebnego księdza przeora Rejmana trwale, złotemi głoskami zapiszą się w dziejach klasztoru Jasnogórskiego. Sławny na świat cały ten klasztor, owa perła, ów klejnot najdroższy, jakim Bóg w nieograniczonej dobroci swojej obdarzyć nas raczył, owo pokrzepienie i ucieczka dla dusz zwiątpiałych i serc cierpiących, dzięki niestrudzonym zabiegom księdza przeora Rejmana, jego żelaznej woli, jego roztropności i mądrości, wreszcie dzięki czci i zaufaniu, jakie sobie zjednał u wiernych katolików w kraju całym, zostanie przyprowadzony do świetnego stanu, czego tak bardzo potrzebował. Ks. przeor Rejman pracę nad tem rozpoczął z chwilą objęcia wysokiego stanowiska i prowadzi ją z podziwu godną gorliwością. Dniem i nocą przemyśliwa, żeby świątynię i miejscowość, szczególniej przez Orędowniczkę, Pośredniczkę i Pocieszycielkę naszą umiłowaną, Jej Łaski uczynić godną, a także, by wierni, przybywający na Jasną-Górę z hołdem i uwielbieniem dla Niebieskiej Pani lub błagający Jej pocieszenia, mieli odpowiednią wygodę.

Wiele, bardzo wiele już dokonał ksiądz przeor Rejman, chociaż na każdym kroku porać się musi z niezmiernemi trudnościami. Lecz mocno wierzy w Opiekę Świętej Bożej Rodzicielki, a ta wiara gorąca toruje mu drogę i daje pomyślność taką, że nawet w nieszczęściu zsyła mu szczęście. Klasztor poniósł stratę dużą wskutek pożaru wieży, lecz fundusz na nową wieżę nadspodziewanie szybko został zgromadzony, więc klasztor zyska wieżę piękniejszą i trwalszą. Wprawdzie fundusz zebrany nie wystarczy, gdyż zawsze przy robotach budowlanych okazują się braki, których przy kreśleniu kosztorysu dostrzedz nie można — lecz

i o to kłopotu niema: na cześć i chwałę, na uwielbienie Najświętszej Panienki Częstochowskiej każdy z pod serca grosz wyciągnie, bo wie, że Bóg mu to w dziesięcioro nagrodzi.

Nie będzie także miał kłopotu Przewielebny ksiądz przeor Rejman ze stacyami Drogi Krzyżowej, któremi postanowił świątynię Jasnogórską ozdobić. Stacye owe będą dziełem pomnikowem: już one same zasługi księdza przeora Rejmana na wieczne utrwalą czasy, a świetność i sławę klasztoru Jasnogórskiego nowymi otoczą blaskami. Wykonanie ich ks. Przeor powierzył znakomitemu artyście rzeźbiarzowi, Piusowi Welońskiemu, twórcy wielu arcydzieł tej miary, jak: „Gladyator," rzeźby, zdobiącej pałac sztuk pięknych w Warszawie, płaskorzeźby „Sobieski," znajdującej się w Krakowie, pomnika Jędrzeja Śniadeckiego, zdobiącego kościół warszawski P.P. Wizytek. Mistrz-artysta najchętniej i z zapałem podjął się pracy ku czci i uwielbieniu Najświętszej Panny, wezwał do spółpracy wszystkich słynnych rzeźbiarzy polskich, ale stacyę pierwszą sam wykonał, najprzód z gliny, a następnie w gipsie. Już jest ta pierwsza praca zupełnie gotową, należy jeno odlać ją z bronzu, czego mistrz-artysta dopełni we własnej odlewni, przy pomocy Włocha, pierwszorzędnego pod względem wykonywania robót podobnych majstra.

Podobiznę pierwszej stacyi przedstawia rysunek załączony. Już z niego można osądzić, że nowe nam daje arcydzieło. Bo arcydziełem jest ta grupa, wyobrażająca Chrystusa Pana przed Piłatem. Główna postać, Pan Jezus, jest pomyślana i wykonana w natchnieniu, artysta przejął się duchem Ewangelii i to mu pozwoliło odtworzyć Zbawiciela w całej Jego wielkości, świętości, spokoju i prostocie. Przykuwa ta postać wzrok, zachwyca i podziw budzi. Dwie inne postacie: żołnierza, odczytującego wyrok i drugiego, który sprowadza Pana Jezusa, nic nie pozostawiają do życzenia i tworzą razem z postacią główną przepiękną, doskonałą całość.

Wyobraźmyż sobie klasztor Jasnogórski okolony wieńcem takich arcydzieł! Jeżeli Opieka i Łaska Najświętszej Panienki, poświęcenie O. O. Paulinów, bohaterska odwaga i niezłomność ich przeora, ks. Augustyna Kordeckiego uczyniły go religijnie i historycznie tak sławnym w świecie, że do tej sławy nic już przydać nie można, to wskutek zabiegów ks. przeora Rejmana stanie się on jeszcze sławniejszym, jako jedyne w swoim rodzaju zbiorowisko sztuki religijnej. Niepożytą przeto będzie zasługa ks. przeora Rejmana, bo klasztor nietylko zyska na świetności i chwale, nietylko te Stacye staną się nową dla pątników do pielgrzymek pobożnych pobudką i nietylko będą podnosiły i wzmacniały w sercach ducha religijnego, ale zarazem będą krzewiły

wśród rzesz zwiedzających klasztor uczucie piękna, będą je z pięknem poznawały.

. . . .

W pobożnych pochodach ludu naszego, na Jasną-Górę, począwszy od Wielkiego Tygodnia, a głównie od Zielonych Świątek, uwydatniło się kilkanaście kompanij pątniczych. Na uroczystość ŚŚ. Piotra i Pawła przybyła między innemi do 2,000 licząca kompania z Nowo-Radomska; przewodniczył tej porządnie poprowadzonej rzeszy pobożnych, ks. Henryk Koławski, wikaryusz, w towarzystwie alumna. Należy zaznaczyć piękne usiłowania ks. Koławskiego, który sam muzyk-artysta, w parafii swojej zaprowadził orkiestrę; jakkolwiek założona zaledwie w listopadzie r. z., już obecnie piękną grą swoją zwróciła powszechną uwagę; składa się z 24 instrumentów dętych, a 14 smyczkowych.

Parafianie noworadomscy odznaczyli się ofiarnością nie tylko dla świątyni Jasnogórskiej, ale nawet i dla innych, jak np., dla kościoła Kartuzów w Gidlach. Kompanię tę, przybyłą o 9 godzinie wieczorem, w obliczu świątyni Jasnogórskiej, na wzniesieniu statuy św. Prokopa, powitał pięknem przemówieniem O. Pius Przeździecki, paulin.

Przybyła też na wspomnianą wyżej uroczystość dość liczna kompania z Łodzi, również prowadzona przez księdza, jak niemniej z parafii Kurzelew, powiatu Włoszczowskiego wraz z przewodnikiem swoim duchownym. Z sąsiedniego nam Szląska przyszły złożyć hołdy swoje u stóp cudownej Matki Bożej trzy większe kompanie z muzyką, a mianowicie: z Glewic, Raptowa i Radzionkowic. Pobożni Szlązacy uwydatnili się wśród rzesz innych swoim ubiorem porządnym, a kobiety bufiastemi spódnicami i ładnie ukarbowanemi pod chustką czepcami. Śpiew też Szlązaków odznacza się dobranymi głosami i zupełną harmoniją. Dość też liczna kompania przybyła z niedalekiej osady miejskiej Mstów.

Przybyła także z dalekiego Cieszyna kompania pobożnych Pątników, składająca się z 118 osób, poprzedzona muzyką. Przewodnik tych pobożnych Szlązaków—Paweł Galeja troskliwie, po ojcowsku opiekował się każdym z pątników, ciesząc się nawzajem zupełnym ich zaufaniem.

Nie upłynęło wiele czasu, aż oto w przeddzień Matki Boskiej Skaplerznej pojawiła się na miejsce święte dążąca liczna, bo cztery tysiące pobożnych wynosząca kompania z Piotrkowa. Poprzedzony chorągwiami, orszakiem dziewic ubranych w bieli, a niosących wieńce okalające je i piękne emblema religijne, ksiądz Władysław Kiełbasiński w towarzystwie dwóch alumnów, Rudolfa Tarczyńskiego i Stefana Płaza prowadził swe owieczki parafialne, idąc z niemi piechotą od samego Piotrkowa, a na czele mając kapelę straży

ogniowej ochotniczej. Do pomocy zaś w spowiedzi dla pątników przybyli z Piotrkowa ks. Szabelski i ks. Balurowski; kapela na przemian dźwiękami harmonijnymi towarzyszyła rzewnym a wspaniałym pieniom ludu, postępującego w zwartych, porządnie uszykowanych szeregach. Gdy oczom strudzonych pątników ukazała się wieża i mury klasztoru, wstrzymali się i podczas przemowy ks. Kiełbasińskiego, patrząc na miejsce cudowne, zwruszeni, modlić się zaczęli do Królowej Nieba i ziemi, a następnie ze łzami w oczach zaczęli sobie przebaczać winy. Wrogowie od lat kilku, niedawno z nienawiścią na siebie pątrzący, teraz rzucali się sobie w objęcia i przyrzekali zgodę. Zaiste, rzadki, wzruszający to był widok. W sam dzień Matki Boskiej Szkaplerznej przybyła też dość liczna kompania warszawska z orkiestrą Mstowską, która po strofach pieśni pątniczej napełniała powietrze poważnie — rzewnymi dźwiękami.

. . . .

Z cyklu działań społeczno-moralnych wśród tutejszej ludności katolickiej należy wyróżnić piękny czyn komitetu częstochowskiego Towarzystwa dobroczynności, a głównie staranie członków tej instytucyi: ks. prefekta Helbicha, ks. Żaka, wikaryusza parafii Ś-go Zygmunta, i d-ra Sękowskiego. Warunkiem bowiem tych usiłowań stało się urządzenie pierwszej u nas kolonii letniej w Mstowie, na początek dla 25 dziewcząt na 6 tygodni. Było znacznie więcej kandydatek, ale dla braku funduszów nie można było ich przyjąć; jest jednakże nadzieja, że w roku przyszłym będzie mógł komitet urządzić kilka sezonów i dla chłopców, bo i tych potrzebujących pokrzepienia na zdrowem powietrzu nie brakuje. Przyjęte dziewczątka od lat 7 do 12, po nabożeństwie przewiezione zostały do Mstowa dnia 3 lipca, miejscowy zaś ksiądz proboszcz kanonik Kmieć po stosownej przemowie do dzieci poświęcił mieszkanie zajęte na kolonie.

Z końcem roku szkolnego młodzież ucząca się przybywa zwykle na Jasną-Górę gromadkami dla złożenia hołdu Matce Boskiej Częstochowskiej. Widzimy tu więc w owych czasach studentów uniwersytetu, to politechniki, to maturzystów gimnazyalnych. Bardzo nas uchwycił za serce i rozrzewnił widok 24-ch młodzieńców, którzy ukończywszy w tym roku seminaryum nauczycielskie w Jędrzejowie, wprost ze szkoły z błogosławieństwem swojego prefekta pieszo, w d. 23 czerwca r. b., przybyli na Jasną-Górę i tu się wyspowiadali, Komunię Świętą przyjęli, i po otrzymaniu błogosławieństwa od Przewielebnego ks. Przeora, który ich tu podejmował gościnnie, powrócili do Jędrzejowa i na pamiątkę tej podróży złożyli w tamtejszym kościele piękny krzyż procesyonalny.



OCHRONA DLA DZIECI, FUNDACYI hr. STARZYŃSKICH



SCHRONIENIE POD OPIEKĄ ŚWIĘTEGO JÓZEFA,
przeznaczone dla zmożonej wiekiem służby przy paralitykach.

. . . .

Według ogłoszonego w pismach przez Czcigodnego przeora O.O. Paulinów ks. Rejmana sprawozdania, do d. 7 b. m. wpłynęło do rąk jego rubli 150,000, na które to składki zostało wydane Najwyższe pozwolenie. Co się tyczy samego odbudowania wieży spalonej, to w d. 9 czerwca przedstawione zostały władzy do zatwierdzenia: plan i kosztorys na odbudowanie tejże oraz uszkodzonych części gmachu na rub. 157,919 kop. 47, oraz plan i kosztorys przebudowania krużganku przytyfiającego do kaplicy Najświętszej Panny obliczony na rub. 89,300 kop. 68. Prace przygotowawcze w celu odbudowy wieży dawno już rozpoczęte, tak w fabrykach żelaznych jak i na miejscu; las zakupiony dostarczył już dostatecznie materyału budowlanego na rusztowanie, którego ustawienie czeka tylko na zatwierdzenie planów odbudowy przez Władzę, a fundamenta wieży skrupulatnie już zbadano.

Liczba O.O. Paulinów, tak szczupła względnie do potrzeb religijnych dla tylu tysięcy dorocznych pątników, powiększoną została o jedną osobę; w dniu bowiem 29 z. m. wyświęcony został na księdza kleryk Bazyli Olesiński.

. . . .

Cnota dobroczynności, jakkolwiek nie rozwija się tu jeszcze systematycznie, ma przecież kilka jaśniejszych objawów. Chcemy tu właśnie przytoczyć, nie dotykając jeszcze obszerniej samego Towarzystwa dobroczynności, dwie nader pożyteczne, istniejące od niedawna instytucye.

„Ochrona dla dzieci przychodnich”, mieszcząca się przy ulicy Klasztornej, jest fundacyą hrabiostwa Starzyńskich, obywateli z gubernii podolskiej hr. Karola i małżonki jego Adaminy z hr. Chołoniewskich Starzyńskiej. Do ochrony uczęszcza 24 dzieci: 12-u chłopców i 12-e dziewczynek najbiedniejszych rodziców; dzieci otrzymują obiady i podwieczorki darmo, oraz ubranie, służące im podczas przebywania w ochronie, gdzie dzień cały pod kierunkiem dwóch dozorczyń zajęte są zabawą, gimnastyką, uczeniem się śpiewów i t. d. Wszystko to jest utrzymywane kosztem szlachetnych fundatorów, którzy i dom obszerny, ładny, ślicznie urządzony, wraz z małą kapliczką, na ten cel wznieśli. Ochrona ta została otwartą w r. b., dnia 8-go maja, w dzień Ś-go Stanisława, pod którego wezwaniem też zostaje.

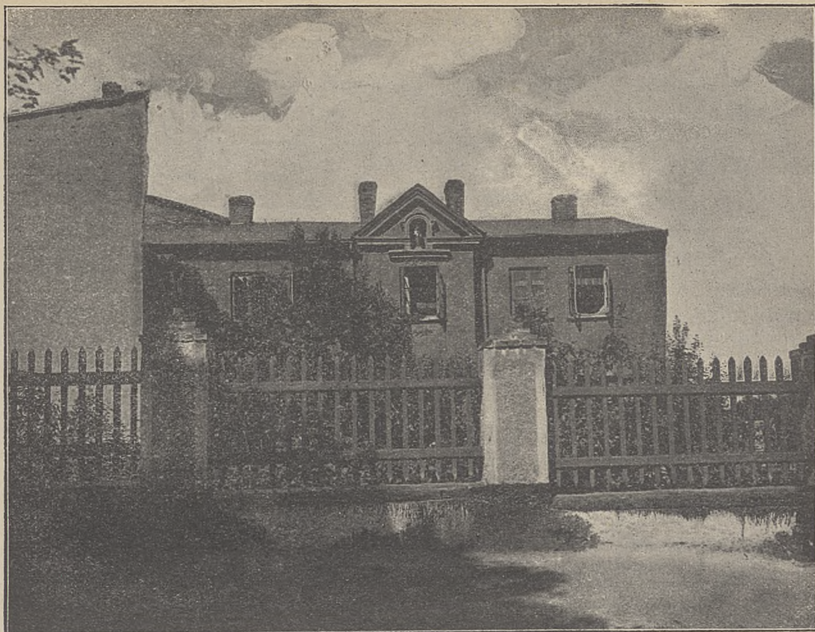
Tu pominąć nie można głębokiej i pełnego znaczenia pobudki, która skłoniła zacnych fundatorów do urządzenia w mowie będącego dobroczynnego zakładu. Oto niewymownie strapieni hrabiostwo Starzyńscy, po śmierci córeczki Stasi, noszący się z myślą wystawienia

mauzoleum w swym majątku wśród grobów rodzinnych, przybyli na Jasną-Górę, aby tu, u stóp Przenajświętszej Orędowniczki naszej, szukać ukojenia żalu i pociechy po tak dotkliwej stracie. I stało się, że przy gorącej modlitwie, w natchnieniu zesłanem im przez cudowną Matkę Boską Częstochowską, postanowili uczcić pamiąć swej drogiej dzieciny trwalszym, niż marmury pomnikiem, a mianowicie założyć tu Ochronę dla najbiedniejszych dzieci, pod wezwaniem właśnie Świętego Patrona ich dziecięcia. Wieki całe ochrona ta przetrwać będzie mogła, jako wciąż żyjący pomnik pobożnych i miłosiernych uczuć Fundatorów. Urządzeniem tego zakładu zajął się, nie szczędząc trudów, Ojciec Pius, paulin.

. . . .

Drugą instytucyą dobroczynną, tulącą się u stóp Jasnej Góry, jest „Schronienie dla Paralityków,“ pod wezwaniam Ś-go Antoniego Padewskiego. Powstała w maju r. 1898, z ofiar prywatnych dobroczynnych; w marcu 1900 r. została zatwierdzoną Ustawa Schronienia przez Ministeryum Spraw Wewnętrznych; następnie w listopadzie tegoż roku, władze zatwierdziły i Zarząd Schronienia. Opiekunami rzeczywistymi są: notaryusz tutejszy, p. Władysław Małkowski, pisarz hypoteczny Maliszewski, doktorzy medycyny: Pietrasiewicz i Marczewski, oraz dwie Opiekunki rzeczywiste: ks. Róża z hr. Zamoyskich, Eugeniuszowa Lubomirska i pp. Julia z Czabanów Wiemanowa,—a opiekunką honorową: hr. Marya Czarnecka. Zacna ta pani stała się właśnie inicyatorską tej instytucyi, przybywszy bowiem dnia pewnego na święte miejsce i nosząc się z myślą założenia, oprócz Warszawy, i w kraju Schronienia dla paralityków, wśród modłów gorących przed cudownym obrazem Matki Boskiej, powzięła postanowienie u stóp Jasnej-Góry założyć takież Schronienie. Jakoż przy silnej woli i wytrwaniu dokonała tego, licząc jedynie na Opatrzność Bożą. W r. 1901 w marcu odbyło się pierwsze posiedzenie gremjalne Zarządu Schronienia, które już wtedy rozpoczęło swa pożyteczną działalność.

Instytucya ta mieści się przy ulicy Klasztornej, w domku własnym, okolonym ogródkiem, a liczba chorych paralityków obecnie wynosi już 20-tu. Zarząd w chwili obecnej zajęty jest nabyciem drugiego jeszcze domku, sąsiadującego ż dawniejszym, pragnie bowiem rozszerzyć pomieszczenie dla tych nieszczęśliwych, nieustannie zgłaszających się z prośbą o przyjęcie, a odchodzących z odmowną odpowiedzią dla braku miejsca odpowiedniego, jak też i dla braku funduszów na ich utrzymanie. Schronienie to dotychczas nie posiada żadnych funduszów stałych (tak zwanych żelaznych), a utrzymuje się jedynie z opłat wnoszonych za utrzymanie chorych,—z opłat bardzo skromnych, bo zaled-



SCHRONIENIE DLA PARALITYKÓW.



NOWONABYTY DOM DLA PARALITYKÓW.

wie kilka rubli miesięcznie wynoszących. Z tego też powodu dotąd tylko dwie osoby, nader biedne, utrzymywane są zupełnie bezpłatnie. Zarząd pragnąłby dać takąż pomoc i wielu innym ubogim, lecz w całem znaczeniu tego słowa nie jest w możności. Dla powiększenia dochodów Instytucyi, zarząd na ostatniem swem posiedzeniu, w maju r. b. odbytem, postanowił zapraszać na Opiekunów honorowych Osoby dobroczynne, któreby opłacały roczną składkę w ilości najmniej 3-ch rubli i miały prawo kontrolować działania zarządu instytucyi, oraz nią się opiekować, już to zalecając znajomym swoim opiekę nad nią, już to pomagając w urządzeniach na rzecz Schronienia koncertów, przedstawień teatralnych i t. p., rozdawnictwem biletów, sprzedażą programów i t. d.

Z ofiarodawców, dobrowolnie wnoszących składki na korzyść Schronienia, najwięcej się przyczyniły panie: doktorowa Antonina Przystańska z Warszawy, p. Julia Wieman z Czabanów, oraz kilka osób nieznajomych. Te właśnie ofiary dopomogły do zakupienia drugiego domku, na którym jednak dług pozostaje do spłaccnia; lecz może, przy pomocy Bożej znów się zjawi jaki ofiarodawca dobroczynny, który zechce oczyścić z długu to skromne siedlisko najnieszczęśliwszych.

Jeden z domków tej Instytucyi, pod wezwaniem Ś-go Józefa, jest przeznaczony dla wypracowanych i złamanych wiekiem dozorczyń, które się zajmowały opieką nad paralitykami.

Jak więc, widzicie czytelnicy, wśród zgiełku i szumu fabryczno-przemysłowego i handlowego nowej Częstochowy, są ludzie, na tej Górze-Jasnej, którzy się żywo krzątają około cierpiącej ludzkości, których zabiegi tak słonecznie odbijają się od szarego tła materyalnych zabiegów innych, bezwzględnie wybijających się na wierzch.

. . . .

Przytoczymy tu jeszcze wiadomość, żywo obchodzącą tak szerszy ogół jak przeszło 40-tysięczną ludnosć parafialnej Ś-go Zygmunta. Istniejący tu kościół pod tem wezwaniem zaledwie pomieścić może w swej nawie jakie tysiąc ludzi; reszta w czasie nabożeństwa modlić się musi na cmentarzu kościelnym i na ulicy. Dla tego też nowy obszerny kościół dla tej parafii stał się niezbędnym. Sprawa ta, od dziesięciu prawie lat podjęta, postąpiła w czasie obecnym nieco naprzód. Plany i kosztorys zostały już przez ministeryum zatwierdzone, lecz jeszcze nie doszły na miejsce. Koszta budowy podane na 250,000 rubli, ale składki na ten cel dopiero 20,000 rubli wynoszą. Świątynia według planu wspaniała, wybudowaną zostanie na placu proboszczowskim, pomiędzy ulicami Ogrodową a Krakowską, i pomieści 5,500 po-

bożnych; stary zaś kościołek Ś-go Zygmunta zostanie nietkniętym. Niech te wiadomości, zaczerpnięte u źródła, będą sprostowaniem błędnie podawanych do niektórych pism wiadomości o tym nowym kościele.

. . . .

Wreszcie kończymy radosną, mającą związek z świątynią Jasnogórską wiadomością, że O. Augustyn Jędrzejczyk, prokurator klasztoru, magister nowincyuszów i kleryków paulińskich, jako amator malarz, namalował artystycznie obraz Świętego Augustyna, który będzie umieszczony w ołtarzu tegoż wezwania, w miejsce starego. Tak podobiznę pięknego obrazu, owoc pracy świętobliwego sługi Bożego ku uczczeniu Świętego Augustyna, jak i ołtarza znajdującego się w kościele Jasnogórskim w numerze bieżącym naszego pisma podajemy.



Nowiny z daleka i z blizka.

Dwudziestopięciolecie rządów na Stolicy Apostolskiej Jego Świętobliwości Leona XIII. W Rzymie utworzył się Komitet międzynarodowy, z celem przygotowania w całym świecie katolickim uroczystości, z powodu zbliżającego się jubileuszu ćwierćwiekowych rządów papieskich Ojca Świętego Leona XIII. Ważna ta i radosna rocznica przypada w początkach marca roku przyszłego. Na czele Komitetu stoi Kardynał Wikary Rzymu, Piotr Respighi. Właśnie w tym czasie rozesłał ten dostojnik do arcybiskupów i biskupów całego świata list osnowy następującej: „Wasza Ekscelencyo! Ojciec Święty, Leon XIII, w długiem życiu swojem taki jeszcze rzeźki i czynny, wkrótce rozpocznie dwudziesty piąty rok swego chwalebnego pontyfikatu. Wasza Ekscelencya łatwo to zrozumie, ile to jest potrzebne, by pełne synowskiej miłości usiłowania wszystkich katolików, zwróciły się do podziękowania Opatrzności za tak wielką łaskę, jaką jest przedłużenie lat Ojca Świętego, tak silnie związane z dobrem całego katolicyzmu. Obowiązkiem tedy, naszym jest przedewszystkiem zarządzić w każdym katolickim zakątku publicznie modlitwy dziękczynne do Boga, Zachowawcy wszelkiego życia, a potem, po wspólnem porozumieniu się, zarządzić na ten upragniony dzień jubileuszu stosowne uroczystości, w godny sposób świadczące o naszych uczuciach dla Ojca Świętego. Dlatego w Rzymie, onem Mieście Wiecznem, zawiązał się Komitet, złożony z wybranych i ze wszech miar zasługujących na zaufanie osób, które mają, pod mojem przewodnictwem, czuwać nad porządkiem i wykonaniem każdej rzeczy, dotyczącej tej radosnej rocznicy. Co do mnie, chociaż to mnie osobiście tylko dotyczy, uważałem za rzecz właściwą rozkazać we wszystkich kościołach Rzymu, ilekroć bywa w nich odmawiany Różaniec Święty, dodawać jeszcze osobne modlitwy za zdrowie Ojca Świętego, również poleciłem kapłanom, w czasie Mszy Ś-tej, odmawiać

przepisaną w tym celu modlitwę. Ze swojej strony, Komitet prześle w swoim czasie Waszej Ekscelencyi szczegółowy program, według którego zamierza wyrazić Ojcu Świętemu życzenia katolickiego świata, oraz uczcić Go w sposób odpowiedni do uroczystości. Uważałem za stosowne o tem wszystkiem uprzedzić Waszą Ekscelencyę, aby mógł poczynić odpowiednie w swej dyecezyi przygotowania i nas stale zasilać radą i czynem.“ Ani wątpić, że jubileusz wypadnie wspaniale bo nie znajdzie się pomiędzy katolikami taki wyrodek, któryby do uświetnienia radosnej uroczystości całem sercem przyłączyć się nie chciał.

List Ojca Świętego. Niedawno rząd francuski uchwalił prawo przeciwko zakonom i stowarzyszeniom religijnym. Prawo to oburzyło i dotknęło boleśnie świat katolicki. Ojciec Święty z powodu tego wydał do przełożonych zgromadzeń zakonnych zaślepionego kraju List Papieski, którego główne ustępy przytaczamy. Zaczyna się to pismo od ojcowskiego pozdrowienia i apostolskiego błogosławieństwa, następnie Ojciec Święty przypomina, że Stolica Apostolska, i w czasach pokoju, i w czasach prześladowania, które obecnie znów nadeszły, dawała kongregacyom religijnym zawsze bardzo liczne dowody swej miłości pełnej pieczy. „Napaści gwałtowne, jakich znów w różnych krajach doznajecie, smucą Nas bardzo. Kościół katolicki również nad niemi boleje, gdyż czuje się dotkniętym, nietylko w swych prawach, ale nadto prawa owe ograniczają Jego działalność, rozwijaną zarówno przez kler świecki jak i zakonny. Zaiste, kto rękę kładzie na kapłana świeckiego lub zakonnika, ten obraża źrenicę Kościoła. O ile to było w Naszej mocy, nie zaniedbaliśmy żadnego środka, ażeby powstrzymać niegodne prześladowanie. Dlatego z całą stanowczością występowaliśmy w obronie waszej sprawy, w imię religii, sprawiedliwości i cywilizacyi, ale ufność Nasza, że napomnienia te znajdą posłuch, zawiedzioną została. I oto właśnie świeżo w kraju, w którym szczególnie okazała się owocną działalność zakonów, dla którego okazywaliśmy szczególną troskliwość—ciała prawodawcze zaprowadziły ustawy wyjątkowe, przeciwko którym niedawno głos podnosiliśmy. Pomni świętych Naszych obowiązków, za przykładem Naszych poprzedników, zakładamy głośny protest przeciw ustawom, sprzeciwiającym się prawu przyrodzonemu, nauce Ewangielii i tradycyom nieprzerwanym, nakazującym łączyć się do życia, na którem piętno świętości jest wyciśnięte. Ustawy te obrażają niewzruszone prawo Kościoła ustanawiania stowarzyszeń religijnych, od niego samego zależnych, jakie zakłada, wypełniając powierzone mu od Boga posłannictwo, a które z pożytkiem wielkim są dla religii i dla państwa. Za głosem Naszego serca idąc, postanowiliśmy wam objawić Nasze uczucia ojcowskie w tej myśli, że was słowa te

pocieszą, nadto, żebyście wytrwali w próbach i zebrali plon obfity z waszych wobec Boga i ludzi zasług. Z pomiędzy tylu innych motywów naszej wiary, które nas pocieszają w smutku, przypomnijcie sobie owe uroczyste słowa Jezusa Chrystusa: „Błogosławieni, którzy cierpią za mnie prześladowanie.“ Chociaż mnożą się przeciw wam oskarżenia, lecz ich prawdziwą przyczyną jest nienawiść świata przeciw Miastu Bożemu, Kościołowi katolickiemu. Właściwy cel społeczności jest pozbawić się zbawiennego wpływu Chrystusa, chociaż wpływ ten jest największem błogosławieństwem. Gdybyście się stosowali do reguł tego świata, nie miałby nic przeciw wam i otoczyłby was swoją pieczą; gdybyście byli z tego świata, toby was popierał i dawał dowody uznania.“

Następnie Ojciec Święty oddaje pochwały zakonnikom i zakonnicom; zaznacza, że oni właśnie z powodu cnót swoich prześladowanie cierpią; zaznacza wielką liczbę utworzonych przez duchownych zakonnych instytucyj, które obecnie są błogosławieństwem krajów. Ze szczególnym naciskiem podnosi Ojciec Święty zasługi stowarzyszeń religijnych, które tak gorliwie życzenia Jego pełnią, narażając się na straszliwe cierpienia, na śmierć, jak to się okazało podczas ostatnich niepokojów w Chinach. Nawet pomiędzy najznakomitszymi mężami są umysły bezstronne, które chwalą pracę zakonników, bronią nienaruszalności ich praw, ich nietykalnej swobody, jako katolików. Jeżeli Bóg dopuszcza prześladowanie, czyni to dlatego, aby wlać nowe siły w ducha, który w zwykłym spokoju często usypia. Przeto Ojciec Święty wzywa zakonników, aby zdwoili gorliwość swoją ku życiu w wierze, w modlitwach i uczynkach świętobliwych; aby pomni byli przykładu ich poprzedników, którym tak samo w smutnych czasach prześladowania żyć przypadło. Wątłe i zepsute społeczeństwo do podniesienia się i oczyszczenia potrzebuje mężów cnót wielkich i serc apostolskich. „Bądźcie tymi mężami — kończy Ojciec Święty — szukajcie siły swojej w Bogu. Papież jest z wami, a także cały świat katolicki.“

Dwa brewe Ojca Świętego. Z powodu zakończenia miesiąca maja, Ojciec Święty ogłosił brewe dotyczące nabożeństwa, zwanego we Francyi Wiecznym Różańcem. Ojcowie Dominikanie, wiedząc, że to nabożeństwo, rozpowszechnione we Francyi i Belgii, wiele pożytku duchowego przynosi, zaprowadzili je również we Włoszech z dobrym na początek skutkiem; w Rzymie samym do bractwa Wiecznego Różańca zapisało się już 4,000 osób. Ojciec Święty, dowiedziawszy się o tem, zaszczycił dyrektora tego bractwa, Ojca Konstantego Becchi, pismem tej treści: „Umiłowany Synu! Nadzieja, żywiona przez Nas, gdyśmy przed czterema laty pisali ostatnią Naszą Encyklikę o Różańcu Maryi,

zdaje się urzeczywistniać i z dniem każdym znajdywać pewniejszą podstawę, albowiem zawiadomiłeś Nas, że i we Włoszech zawiązało się bractwo Wiecznego Różańca, więc dziś już tysiące katolików dniem i nocą, jedni po drugich odmawiają Różaniec, zasyłając do Nieba prośby, w celu ubłagania dla siebie i Kościoła walczącego opieki i nieustajacej pomocy Bożej Rodzicielki. Szczególnie Nas to raduje, bo od niemowlęctwa nad życie miłujemy Maryę, i w ciągu długiego życia doświadczyliśmy osobiście, jak pożyteczną i zbawienną jest rzeczą oddawać pod orędownictwo Maryi wszystkie nasze sprawy, troski i nadzieje. Dlatego nietylko pochwalamy twoje owocne zabiegi i mozoły, których błogosławione skutki już tak w krótkim czasie z pociechą oglądamy, ale zachęcamy wszystkich wiernych, żeby stawali w szeregach tego błogosławionego legionu, zanoszącego modły pod niezwyciężonym sztandarem Różańca Ś-go.“—Gorąca pochwała Ojca Świętego, dla odprawiających stale nabożeństwo do Królowej Niebios, powinna być pobudką dla wiernych, zwrócić ich do coraz żarliwszego ukochania i uwielbienia Orędowniczki, Pocieszycielki i Pośredniczki naszej.

W drugiem brewe, Ojciec Święty, jako Najczcigodniejszy Opiekun nauki i sztuki kościelnej, pochwala i zachęca do zgłębiania śpiewu gregoryańskiego. Badania w tym kierunku rozpoczęli Ojcowie Benedyktyni z Solesmes. Nadto Jego Świętobliwość oświadcza, iż rzeczą jest niezmiernej wagi, aby duchowieństwo zakonne i świeckie oznajamiało się ze śpiewem gregoryańskim i zajmowało się rozpowszechnianiem onego, gdyż tony gregoryańskie zostały dostrojone do słów liturgii katolickiej i jeżeli tylko dobrze, ze sztuką są użyte, okazują bardzo dowodnie słodycz harmonii i powagi, wywierają wielki wpływ na dusze słuchaczów, wzbudzają w nich pobożność i myśli zbawcze.

Odpowiedź Ojca Świętego na hołd uniwersytetu. Istniejący w Glasgowie uniwersytet obchodził piećsetną rocznicę swego powstania, ponieważ zaś ta wszechnica otrzymała od Papieża Mikołaja V zaszczytne przywileje, więc profesorowie jej wysłali do Ojca Świętego Leona XIII adres, z wyrażeniem najgłębszego hołdu. Ojciec Święty nie pozostawił tego dowodu miłości i uwielbienia do siebie bez odpowiedzi, skreślił ją po łacinie w te słowa: „Czcigodnemu bratu Naszemu, Herbertowi Sfory, prefektowi i wicekanclerzowi, tudzież doktorowi, profesorom i studentom wszechnicy glasgowskiej Leon XIII Papież. Dowiedzcie się, iż pismo wasze zbiorowe było dla Nas wielce miłe. Pamiętać doznane dobrodziejstwa, sławić je szczerze i głośno, to są prawdziwe zalety duszy, nieznającej nizkich uczuć. Podoba Nam się cnotę ową w was widzieć, gdyż zwiększa ona blask waszych znakomitych prac i talentów. Wielka szkoła, w której tak gorliwie pracujecie, za-

wdzięcza powstanie swoje Stolicy Apostolskiej, zatem wasza myśl wdzięczna zwróciła się do Arcykapłana rzymskiego, aby Go wezwać do uczestniczenia w waszej radości. Brakłoby wam czegoś, gdybyście w tym czasie nie otrzymali od Nas jakiego dowodu życzliwości. Miłujemy i cenimy ten objaw waszej czci i prawości ducha. Rozważając dawne wspomnienia, wśród was się przenosimy myślą, z radością zatrzymując się na instytucyi, założonej przez Papieża Mikołaja V. Dziełem tem wielki Nasz poprzednik oddał przysługę zaiste nieśmiertelną narodowi szkockiemu, a nadto udowodnił, że pontyfikat rzymski z natury swej wiele się przyczynia do postępu w wyższych naukach i sztukach wyzwolonych, które w narodach utrzymują światło. Życzymy wam, aby ten przesławny przybytek wiedzy kwitł nadal w ofitości zbawiennych owoców i świetności rozgłosu, błagamy oraz Najwyższego, aby waszemi uczonemi pracami przychylnie kierować raczył, w właściwym wiadomości porządku, ku prawdzie i połączeniu się z Nami ogniwem nierozerwalnej miłości.“

Dostojny gość. W miesiącu ubiegłym bawił w Warszawie jeden z najuczeńszych dostojników Kościoła naszego, Jego Ekscelencya biskup sufragan gnieźnieński, ks. Edward Likowski, korzystamy przeto ze sposobności, iżby czytelnikom przypomnieć niepożyte Jego zasługi dla Kościoła i wiedzy. Dostojny Pasterz urodził się w r. 1836, we Wrześni w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, nauki pobierał Monasterce, święcenia kapłańskie otrzymał w r. 1861. Z początku wykładał religię i język hebrajski w poznańskiem gimnazyum Ś-tej Magdaleny, w r. 1865 został powołany na stanowisko profesora seminaryum poznańskiego, a we dwa lata na stanowisko regensa tego seminaryum. Od r. 1870 piastuje godność prałata domowego Ojca Świętego, a od r. 1885 godność biskupa sufragana archidyecezyi gnieźnieńskiej. Dostojny Pasterz, po za obowiązkami pasterskiemi, bada dzieje Kościoła katolickiego w Polsce i wiele w tym zakresie dokonał. Owocem tej pracy mrówczej, wymagającej głębokiej znajomości przedmiotu, umysłu wszechstronnie i gruntownie wykształconego, jest liczny szereg dzieł pomnikowej wartości. Do najcelniejszych należą; „Historya unii Kościoła“, „Dzieje Kościoła na Litwie i Rusi“, „Unia Brzeska w r. 1596“. Jego też zabiegom i wiedzy zawdzięczamy wydanie dwóch ostatnich tomów dekretów papieskich do królów polskich oraz uchwał synodalnych. Poznańskie Towarzystwo naukowe, uznając niepospolite zasługi Dostojnego Pasterza na polu nauki, nadało Mu zaszczytną godność prezesa swego. Niech Bóg w najdłuższe lata zachować raczy Dostojnego Pasterza przy zdrowiu i czerstwości ducha, dla chwały Swojej, a dobra i chluby naszej.

Jubileusze. Ks. Paweł Frysztacki, proboszcz Chróścina, jeden z najstarszych kapłanów szląskich, obchodził półwiekowy jubileusz kapłaństwa. Mimo podeszłego wieku, Czcigodny Jubilat cieszy się doskonałem zdrowiem, jest zupełnie rzeźki, z żarliwością pełni trudne i mozolne obowiązki duszpasterza. Parafianie uwielbiają sędziwego swego proboszcza, bo też jest dla nich pełnym poświęcenia ojcem i dobrodziejem. Każdy zresztą, kto miał sposobność poznać Czcigodnego Jubilata, odzywa się o nim z czcią i miłością.—Równocześnie w Poznaniu obchodzono także jubileusz półwiekowej pracy kapłańskiej ks. prałata Wanjury. Już w przeddzień uroczystości kościelnej członkowie kapituły poznańskiej, grono profesorów tamtejszego seminaryum duchownego i niższego kleru archikatedralnego składały sędziwemu Jubilatowi życzenia i dary, przyczem Jego Dostojność, ks. biskup dr. Likowski, w barwnem serdecznem przemówieniu, skreślił obraz pełnego owocnej pracy życia ks. prałata. Dnia następnego tłumy wiernych wypełniły starożytną katedrę poznańską, do której o oznaczonej godzinie wkroczył Jubilat, przy odgłosach hymnu „Przyjdź Duchu Ś-ty", w otoczeniu licznego duchowieństwa. Mszę uroczystą odprawił sam Jubilat, a jako protonotaryusz apostolski, odprawiał ją w mitrze. Po nabożeństwie Jubilat podejmował ucztą licznych życzliwych. Podczas uczty odczytano brewe Ojca Świętego do Jubilata, w którem jego Świętobliwość przysyła mu życzenia i uznanie jego pracy dla Kościoła, nadto odczytano życzenia Najdostojniejszego Arcypasterza Stablewskiego, który prócz tego przysłał Jubilatowi w darze piękny portret Ojca Świętego.

Napaści hakatystów na katolicką władzę duchowną. Najdostojniejszy Arcybiskup gnieźnieńsko-poznański, ks. Stablewski, wystosował list do stowarzyszenia Jutrzenka, zajmującego się tępieniem pijaństwa i karciarstwa. W liście tym zachęcał członków stowarzyszenia, aby pracowali wytrwale nad odwracaniem ludności polskiej od nałogów, które są jedną z największych klęsk każdej społeczności. I czy mógłby kto przypuścić, że to zalecenie Arcypasterza sprowadzi przeciwko niemu burzę ze strony czyjejkolwiek? Jednak sprowadziło. Oburzyli się ci, od których Polacy i wiara katolicka wszystkiego spodziewać się mogą, mianowicie Niemcy-hakatyści. Wszystkie ich gazety wystąpiły jako jeden mąż, obrzuciły Arcypasterza gryzącemi docinkami, dowodząc przytem, że list Jego był pisany z celem politycznym: podbudzenia ludności polskiej przeciwko ludności niemieckiej. Tak naprzykład jedna z gazet rzeczonych napisała: „Radość naszą z powodu, że znajdujemy Ks. Arcybiskupa przy pracy, leżącej za granicami polityki i tak pięknie zgadzającej się z obowiązkami duszpasterskimi, zakłóca znacznie to, że Ks. Arcybiskup użył w liście wyrażenia, iż przez pijaństwo i karciar-

stwo dużo „ziemi ojczystej“ przeszło „w obce ręce“. Jeżeli przypomnimy sobie, że Polacy z upodobaniem nazywają Niemców „obcymi“, to trudno tych słów nie rozumieć, i one tłómaczą, dlaczego duchowieństwo polskie założyło właśnie *polskie* stowarzyszenie dla zwalczania pijaństwa i karciarstwa. Prawda, te wady krzewią się więcej między Polakami, niż między Niemcami, ale niestety, można je także spotkać wśród Niemców, więc i wśród nich należałoby się je zwalczać. Oczywiście, że w takim razie nie możnaby zakładać stowarzyszenia wyłącznie polskiego i trzebaby odstąpić od zaostrzania rozdziału pomiędzy Niemcami a Polakami. Każde polskie stowarzyszenie staje się wrogiem dla Niemców i sprawia wrażenie, że założyciele, jak w danym razie, nie myślą tylko o walce z szulerstwem i pijaństwem, ale także o wynalezieniu nowej broni przeciwko niemczyźnie. Nadmienienie w liście Ks. Arcybiskupa o „obcych“, którym w ręce wpada „ziemia ojczysta“, to właśnie przypuszczać pozwala.“ Hakatystów zgromiły katolickie gazety niemieckie i poznańskie dzienniki polskie. Jedna z katolickich gazet niemieckich taką im dała odprawę: „Wiadomo, że pijaństwo i karciarstwo jest, niestety, bardzo rozpowszechnione wśród ludności polskiej i to tłómaczy, dlaczego utworzono osobne stowarzyszenie, celem zwalczania tych nałogów wśród ludności polskiej. Należało przypuszczać, że każdy z radością powita te usiłowania i wdzięczny będzie Ks. Arcybiskupowi za to, że je popiera. Ale gazety hakatystyczne, jak widzimy, i stąd umieją wykuć broń przeciwko Ks. Arcybiskupowi, chociaż każdy zrozumie, że podchwytywanie za takie słowa jak „przechodzenie ziemi ojczystej w obce ręce“, żadnej broni stanowić nie może, bo wyrażenie „w obce ręce” nie potrzebuje oznaczać czego innego, jak przechodzenie „w inne“ ręce. Jeżeli ziemianin polski straci swoje dobra, to przechodzą one „w obce ręce“, nawet gdyby je kupił inny Polak. Najciekawszem jednak jest to, że hakatyści stawiają Ks. Arcybiskupowi zarzut fałszywy, bo w jego liście wyrażenia o „obcych rękach” wcale nie było.“

Oto na jakich podstawach opierają się oskarżenia i napaści hakatystów—są to jedynie fałszywe, niecne denuncyacye i podszczuwania, pochodzące z zajadłej nienawiści do wszystkiego, co polskie. Słusznie też powiada w tej sprawie „Dziennik Poznański,“ że bezczelność hakatystów w napaściach na polską, katolicką władzę duchowną przechodzi wszelkie granice. Coraz więcej sprawdza się, że napuszony patryotyzm niemiecki starannie obrachowuje na kogo i w jaki sposób napaść. Nie lubi on występować przeciwko osobom, którym łatwo się bronić. Jeśli mu zagrozić procesem, milknie i cofa się. Słowem, kto ma więcej środków do odparcia kłamstw o nim rozsiewanych, tem może być pewniejszy, że potwarcy cofną się sami. Zupełnie przeciwnie się dzieje,

jeśli potwarcy przypuszczają, że spotwarzona osoba nie ujmie się za sobą, a to jest widoczne w nieustannych, z góry obmyślonych napaściach hakatystów na Najdostojniejszego Arcybiskupa dyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej. Nie byłoby rzeczą odpowiadającą godności i powadze tak wysokiego dostojnika Kościoła, zajmującego i w hierarchii świeckiej pierwszorzędne stanowisko, wdawać się w swary z pierwszym lepszym; z tego właśnie korzystają potwarcy; ale dla każdego myślącego człowieka, sposób, w jaki napadają Niemcy hakatyści, ujawnia ich wartość moralną i świadczy, po czyjej stronie słuszność.

Niesłychane bezprawie. W miasteczku Dobrzycy, leżącem w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, powiecie krotoszyńskim, liczącem zaledwie 1400 mieszkańców, przeważnie Polaków, zdarzył się wypadek niesłychanie oburzający, który zarazem świadczy, z jaką zajadłością prowadzone jest prześladowanie Kościoła katolickiego w Prusach. Dnia 19 czerwca, po południu, gdy ks. proboszcz Niwiński przygotowywał w kościele dzieci parafii swojej do pierwszej Spowiedzi i Komunii Świętej, do kościoła wszedł burmistrz Branderburger z żandarmem i oświadczył ks. proboszczowi, że przysłany jest przez landrata Hahna, z poleceniem odbycia w kościele rewizyi, gdyż są poszlaki, że ma się tu odbywać nauka języka polskiego. Ksiądz zdumiał się, lecz nie tracąc powagi i zimnej krwi, z całym spokojem zażądał od burmistrza urzędowego pisma landrata. Ponieważ burmistrz pisma nie okazał, ksiądz zatem zaprotestował przeciwko najściu kościoła i dalej prowadził naukę katechizmu. Zuchwały burmistrz, nie zważając na protest księdza, w czasie nauki, zabiera dzieciom książki i tablice, które zwykle noszą do kościoła, co widząc ksiądz proboszcz, pragnąc, aby dzieci nie były świadkami gorszącego zajścia w kościele, rozpuszcza je do domu. Burmistrz zatrzymał kilku chłopców i zaczął ich badać w kościele, a przez ten czas żandarm stał na straży, przy drzwiach. Wylękłe dzieci wyrywają się z płaczem, uciekają do domu, a właśnie w tej chwili stanęła przed kościołem kompania pątników, wracająca z sąsiedniej Lutyni. Pątnicy oburzają się, mniemają, że burmistrz chce księdza proboszcza aresztować, ten zaś uspakaja ich i perswazyami skłania, że się spokojnie rozchodzą do domów. Wieść o niesłychanem bezprawiu z piorunową szybkością rozeszła się po kraju. Najdostojniejszy Arcybiskup Stablewski wysłał do rządu energiczny protest, przeciwko tak zuchwałemu mieszaniu się władzy świeckiej do spraw kościelnych i zażądał przykładnego ukarania winowajców. Wystąpienie Księdza Arcybiskupa sprawiło wrażenie potężne. Nawet Niemcy hakatyści obawiają się, żeby rząd nie uczynił zadość żądaniu arcybiskupa, tylko niektóre gazety niemieckie półgębkiem szepcą, że nie znajdzie się w Prusiech proku-

rator, któryby się odważył oskarżyć przedstawicieli władzy za to, że udali się do kośioła z polecenia władzy wyższej. Owe gazety gadzinowe zawiodą się na swej niewczesnej zuchowatości. Landrat i burmistrz popełnili, tak krzyczące bezprawie, że nic ich od kary przykładnej ochronić nie może.

Klasztor na sprzedanie. W Pieninach, na prawym brzegu Dunajcu, na pograniczu Węgier, w dolinie Ś-go Antoniego, wznosi się kościół i klasztor po Ojcach Kartuzach, zwany Czerwonym klasztorem. Starożytne te budowle wzniesione zostały pono r. 1319, ale obecnie znajdują się w opłakanym stanie, w zupełnej ruinie. Już dawno chciano ocalić szanowną pamiątkę budownictwa kościelnego od zagłady, ale rząd węgierski, do którego klasztor należy, oparł się temu. Przed 50 laty chciano nawet kupić klasztor i znajdujące się w pobliżu źródła siarczane, lecz i wtedy nic nie wskórano. Obecnie dopiero Węgrzy godzą się nawet sprzedać klasztor, idzie więc o to, żeby znaleźli się dobroczyńcy, którzyby zabytek ocalili. W r. 1562 Czerwony klasztor również był blizkim zagłady, spustoszyli go bowiem i ograbili ludzie Jerzego Bornamissy; lecz biskup nitryjski, Władysław Matyaszowski, kupił go w r. 1699, za 30 tysięcy złotych reńskich i Ojcom Kamedułom oddał. Szkoda byłaby nieopłacona pamiątki, obecnie można ją do porządku jeszcze doprowadzić. Oto jak się dzisiaj opuszczony klasztor przedstawia. Cienistą aleją lipową, z nad brzegu Dunajca, dochodzimy do bramy, umieszczonej w silnym i dość wysokim murze, otaczającym wszystkie budynki klasztorne. Kościół, którego drzwi osadzone są w pięknych ostrołukowych odrzwiach, smutne zniszczeniem swojem na zwiedzających sprawia wrażenie. Cały zbudowany jest w stylu ostrołukowym, wysoki, jasny, z pięciu oknami w ścianie południowej, wychodzącemi na ogród, z jednem nad głównem wejściem na chórze i z jednem za wielkim ołtarzem. Ozdoby kamienne, w każdem z tych siedmiu okien inne, wskazują pochodzenie z XV wieku. Chór spoczywa na dwóch słupach kamiennych, piaskowcowych; na chór prowadzą ciasne, lecz dobrze kręcone schody kamienne. Pod chórem jest wejście do grobów. Tylko ołtarz wielki częściowo się zachował, inne, a było ich cztery, rozebrano. Ściany kościelne zdobią jeszcze obrazy, ale zniszczone. Po prawej stronie kościoła, obok wielkiego ołtarza, była niegdyś piękna kaplica Ś-tej Anny, dotrwała w niej posadzka z białego i czarnego marmuru. Po lewej stronie kościoła jest obszerna, wysoka i jasna zakrystya, z pięknem sklepieniem ostrołukowem; posadzka w niej również z białego i czarnego marmuru. W samym klasztorze, w refektarzu, znów piękne sklepienie ostrołukowe. Ogród klasztorny ogromny, wysokim obwiedziony murem; znajdują się w nim zwaliska domków dawnych

zakonników. Jeden tylko domek, służący dotychczas za mieszkanie leśniczemu, daje wyobrażenie o tych mieszkaniach pustelniczych. Starożytna pamiątka powinna znaleźć opiekunów.

Pamiątki polskie we Włoszech. Ostatni wylew Tybru, rzeki, nad którą Rzym leży, był niezwykle gwałtowny, omal się nie przyczynił do zagłady jednej z pamiątek polskich w Rzymie. Zniszczył na znacznej przestrzeni mury ocembrowania, w które ujętą została przed kilkunastoma laty rzeka, a stało się to w pobliżu wyspy, na której stoi kościół Ś-go Bartłomieja, wzniesiony w tem miejscu, gdzie ongi się wznosiła świątynia pogańska bożka Eskulapa. W r. 1001 cesarz niemiecki Otton III, tak wielki wielbiciel Ś-go Wojciecha, że do grobu jego w Polsce pielgrzymkę odbył, przyczem był z przepychem podejmowany przez króla Bolesława Chrobrego, otóż cesarz ów w pomienionym roku wzniósł na gruzach świątyni pogańskiej ku czci Ś-go Wojciecha kościół, który następnie, niewiadomo z jakiego powodu, dostał się pod wezwanie Ś-go Bartłomieja. Świątynia była kilkakrotnie przebudowywana, tak, że, z pierwotnego gmachu ślady zaledwie pozostały w dzwonnicy, w nawie głównej oraz w płaskorzeźbach. Po oberwaniu się cembrowiny Tybru, komisya inżynierów chciała ową wyspę znieść, żeby zapobiedz w przyszłości wypadkowi tego rodzaju, a wraz z wyspą zniknęłaby na zawsze starożytna świątynia. Na szczęście, rada miejska nie zgodziła się na to. — Również cesarz Otton III wystawił na część Ś-go Wojciecha kościół w innej miejscowości Włoch, pod Rawenną, w okolicy zwanej dziś Santo Alberto. Ta świątynia nie dochowała się, gdyż przed sześciuset laty gdy wenecyanie spustoszyli Rawennę i jej okolice, wówczas kościół i klasztor tak ucierpiały, że zostały opuszczone. Na początku XVII stulecia wystawiono w Santo Alberto nowy kościół, także pod wezwaniem Ś-go Wojciecha, staraniem kardynała Aldebrandinego, lecz i ten kościół do naszych dni nie dotrwał — zawalił się, zastąpiono go przez nowy.—Do zaginionych pamiątek polskich we Włoszech należy kapliczka, która jeszcze przed stu laty istniała przy kościele San Giorgio Maggiore w Neapolu. Była ona wzniesiona ku czci Ś-go Kazimierza, królewicza, przechowywały się w niej relikwie tego Świętego: palec i część płaszcza. Obecnie ani kapliczki, ani relikwij śladu niema i nikt nie wie, co się z niemi stało. Za to przechowują się cele Ś-go Stanisława Kostki, przeniesione z kościoła San Andrea del quirinale w inne miejsce. Nie straciły one nic z dawnego kształtu, zwiedzać je można, jak dawniej. Trumna z relikwiami Ś-go Stanisława Kostki znajduje się w poblizkim kościele.

W Chinach. W Ning-tiahngu motłoch chiński zamordował 15 księży belgijskich i wielką liczbę nawróconych Chińczyków. Krążą prócz

tego od pewnego czasu pogłoski, że w innej miejscowości również zamordowano 4 misyonarzy katolickich. Pogłoskom tym dułgo zaprzeczali mandaryni, ponieważ jednak powtarzały się one uporczywie, poseł belgijski wysłał kuryerów, aby się dowiedzieli o prawdziwym stanie rzeczy. Kuryerzy przywieźli straszliwą odpowiedź. Misya katolicka w Sankalpanie była doskonale obwarowana, przez pewien czas księża i nawróceni Chińczycy mieli w niej, podczas ostatniego powstania, bezpieczne schronienie, nie byli narażeni na gwałty. Naraz żołnierze Tunfusiana napadli na misyę, ograbili ją ze szczętem, a mieszkańców co do jednego w sposób okrutny wymordowali. Znaczna odległość miejscowości i fatalne drogi nie pozwoliły wysłać nieszczęśliwej misyi pomocy. Krew katolicka coraz obficiej zrasza ziemię chińską, a z tego męczeńskiego użyźnienia wznijdzie plon dla Kościoła Świętego.

Pielgrzymki do Ziemi Swiętej. We Francyi myślą o pielgrzymce do Ziemi Swiętej, w której mają uczestniczyć sami mężczyzni. Najdostojniejszy Arcybiskup z Chambery, ktory sam ongi prowadził taką pielgrzymkę, gorąco zachęca podwładnych sobie kapłanów, aby starali się chwalebny zamiar do skutku doprowadzić. Właśnie rozesłał do nich list pasterski, w którym powiada, iż ponieważ zna z doświadczenia wpływ dobroczynny wypraw krzyżowych w duchu pokoju, miłości i zgody, przeto z całego serca im błogosławi i pragnie, żeby jak największa liczba mężczyzn skorzystała z tak pomyślnej okazyi zyskania Łask Bożych.

Wiece katolickie. W Westfalii, w Mekendorfie, miejscowości fabrycznej, gdzie wielu Polaków z różnych stron po zarobek przybywa odbył się wiec polski. Zgromadziło się w koło 400 Polaków. Odczytali oni a następnie wysłali do ks. biskupa w Padebornie prośbę o polskie kazania w niedziele i święta, oraz o pozwolenie śpiewania pieśni nabożnych po polsku. Również wiec polskich katolików odbył się w Berlinie, w sprawie nabożeństw polskich. Berlin posiada znaczną liczbę katolików, natomiast bardzo mało dla nich kościołów. Naprzykład, parafia Najświętszej Maryi Panny liczy, 15 tysięcy dusz, a nie posiada dotychczas swego kościoła, nabożeństwa odbywać się muszą w szczupłej kaplicy. Ks. proboszcz Jeder gorliwie zbiera składki na budowę kościoła, lecz płyną one powoli. Co więcej — do parafii Najświętszej Maryi Panny należy 5 tysięcy Polaków, mimo to nie słyszą oni polskich kazań. Uskarżali się na to przed ks. Joderem i prosili, żeby chociaż w jedną niedziele mogli słyszeć kazanie w języku ojczystym. Ks. Joder przyznał zupełną słuszność żądania, ale sam sprawy rozstrzygać nie może, zatem na wiecu wybrano delegacyę 27 członków, która ma się starać u Biskupa o wyjednanie pozwolenia na pol-

skie nabożeństwa, przedewszystkiem zaś na polskie kazania.—W St. Gallen, w Szwajcaryi, na wiecu katolickim, biskup Augustyn Eyger żarliwie przemawiał w sprawie Sakramentu Pokuty, wykazując niezbicie, iż Sakrament ten jest ustanowiony przez samego Boga. Wiecownicy jednomyślnie postanowili odpierać bezczelnie zaczepki gazet masońskich, które lżą kapłanów katolickich.

Z Rumunii i Czarnogórza. W Rumunii dotychczas panowały nader ciężkie dla katolików stosunki religijne, lecz jest nadzieja, że stan rzeczy się polepszy, a to dzięki Arcybiskupowi Hornsteinowi. Najdostojniejszy Pasterz zdołał wreszcie wyjednać pozwolenie na założenie w Bukareszcie seminaryum katolickiego, zarząd którego obejmą Ojcowie Benedyktyni. Do seminaryum będą przyjmowani kandydaci wszelkich narodowości. Radość pomiędzy katolikami z powodu zwycięstwa Arcybiskupa wielka.—I w Czarnogórzu katolicy otrzymali od księcia Mikołaja ważne ustępstwo. Książę ten po naradzie z metropolitą cetyńskim i ze swym ministrem, pozwolił Ks. Arcybiskupowi Mulinowiczowi założyć w Cetynii parafię katolicką, wybudować kościół i mianować proboszcza. Ks. Arcybiskup składki na budowę kościoła już zbiera; ks. biskup Strossmayer przysłał na ten cel 10 tysięcy koron.

W Ameryce. W mieście Buffalo otwarto wystawę ogólno amerykańską, podczas której odbędzie się uroczystość pod nazwą „Dzień Polski," urządzona przez komitet, pod przewodnictwem p. Nowaka. Jako termin uroczystości, naznaczono 12 września, rocznicę obrony chrześcijaństwa przed zalewem tureckim, czego dokonał król Jan Sobieski. W Milwaukee odbyło się uroczyste poświęcenie nowego, wspaniałego kościoła polskiego; aktu uroczystego dopełniłł delegat apostolski, arcybiskup Martinelli. Na jednem z przedmieść Chicago, w parafii Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, Polacy budują gmach szkolny, z pomieszczeniem dla 1000 dzieci; w gmachu mieścić się też będzie wielka halla parafialna na tysiąc pięćset osób. Szkoła będzie wzorową, zaprowadzone w niej zostaną wszelkie ulepszenia, więc będzie oświetlona elektrycznością, ogrzewana parą i t. p. Proboszczem szkoły jest ks. Franciszek Wojtałowicz, który niedawno założył parafię w miejscowości Sobieski-Park. W Emmsworthcie, niedaleko Pittsburga, otworzono polskie schronisko dla sierot; nowym tym przytułkiem opiekują się Siostry Nazaretanki.



O kompaniach czyli pielgrzymkach.

Miłe każdemu sercu chrześcijańskiemu sprawia wrażenie gromadka ludzi z pieśnią na ustach, z krzyżem i chorągwią na czele spiesząca do miejsca świętego. Zowiemy ją zazwyczaj *kompanią*, czyli towarzystwem ludzi, złoconem i ożywionem jedną świętą myślą zdobycia wyższej doskonałości chrześcijańskiej. Podróż połączona z trudami, pieszo odprawiana przez kompanię do miejsc słynących z pamiątek, łask lub cudów, nazywa się pobożną *pielgrzymką*. Stąd kompanie w innych krajach nazywają powszechnie pielgrzymkami.

Pielgrzymki podobne były odprawiane już w bardzo odległych czasach. Odprawiali je poganie, niemający znajomości prawdziwego Boga. Albowiem wrodzoną jest człowiekowi skłonność do odwiedzania miejsc, w których znajdzie drogą sobie pamiątkę z przeszłości. W sercu jego widok miejsc takich obudza przyjemne uczucia. Poganie, mając w swoim kraju miasta lub świątynie, wsławione bądź życiem znakomitszych ludzi, bądź osobliwszymi przywilejami wyróżnione, spieszyli do nich w odwiedziny, osobliwie na czas pewnych uroczystości, z całą okazałością i publicznemi zabawami odprawianych.

W starym Zakonie sam Bóg nakazał Żydom pielgrzymki. Gdy bowiem cały naród Żydowski z woli Boga miał tylko jeden kościół w mieście stołecznem Palestyny, Jerozolimie, gdzie była umieszczona Arka Przymierza,—przeto do tego kościoła nakazał Bóg przybywać trzy razy do roku wszystkim Żydom dla oddania Mu hołdu należnego. „*Trzech czasów roku*, mówi Bóg przez sługę swego Mojżesza, *ukaże się wszelki mężczyzna twój przed oblicznością Wszechmogącego Pana Boga Izraelskiego.* (Księga Wyjścia, Rozdz. 34.)

Żydzi trzykroć do roku pielgrzymowali do Jerozolimy, aby Bogu Królowi i Panu swemu złożyć ofiarę, część i pokłon. Dawali oni tym sposobem Panu Bogu dowód swej wielkiej ku Niemu miłości, oraz, opu-

szczając chaty i zajęcia codzienne spełniały akt ufności bezgranicznej w Jego opiekę oraz uznania Władzy Najwyższej nad swemi dobrami.

Za taką z ich strony ufność bezgraniczną i pobożność Bóg ich nagradzał: strzegł przez czas ich nieobecności domy i dobytek ich, jak im to wyraźnie obiecał: *„żaden szkody czynić wam nie będzie“* podczas pielgrzymki do Jerozolimy. W świątyni zaś udzielał ludowi wielu łask i wiele próśb ich zadawalniał, a *„o cokolwiek proszono Go na tem miejscu, wysłuchiwał i był miłościw“*. Dlatego też bardzo wielu z pogan spieszyło do Jerozolimy i tam swoje prośby zanosili. Łaski udzielane były wymownym dowodem, że Bóg chce, aby Mu tej Świątyni, a nie gdzieindziej cześć oddawaną była, i że pielgrzymki do Jerozolimy były Mu przyjemne.

Na powyższem prawie i zwyczaju oparł Kościół Święty, założony przez Pana Jezusa, swoją praktykę. Od pierwszych wieków swego istnienia zachęcał wiernych do odprawiania pielgrzymek pobożnych do miejsc wielkiemi pamiątkami w dziejach Nowego Testamentu wsławionych. Lecz zachęta nie ograniczała się w Kościele katolickim tylko do jednego kaścioła lub do jednego miejsca świętego. Ponieważ Ofiara niekrwawa ma być po wszystkie czasy i na każdem miejscu, gdzie są wierni, sprawowaną, przeto w różnych miejscach muszą być i świątynie budowane. Z pomiędzy licznych świątyń Pan Bóg sam wybiera sobie niektóre: bądź że sobie to miejsce szczególniej upodobał, bądź dla jego wielkich pamiątek. Te miejsca wzbogaca osobliwszymi przywilejami i wiernych tam się modlących obdarza szczególniejszemi łaskami i dobrodziejstwami.

Że Bóg istotnie obdarza pewne miejsca, pewne osoby, lub rzeczy osobliwszemi łaskami, mamy na to dowody w historyi tak Starego jako i Nowego Testamentu. Czytamy naprzykład w Ewangelii Ś-tego Jana, że była w Jerozolimie sadzawka *Owcza*, z żydowska *Betsaida* zwana, do której pewnych czasów zstępował anioł i poruszał wodę, a kto z chorych pierwszy po poruszeniu do wody, zstąpił,—został uzdrowiony. Widzimy więc, że tej sadzawce udzielił Bóg w pewne czasy własności leczniczej, której inne wody nie posiadały. — Elizeusz, by uleczyć Naamana Syryjczyka od trądu, każe mu się obmyć w wodach Jordanu. Szemrze Naaman na tak prosty środek, wyrzuca z niedowiarstwem Prorokowi, że niemało miał wód lepszych w swoim kraju,—a jednak, gdy przezwyciężywszy niedowiarstwo, usłuchał głosu Proroka,—wody Jordanu oczyściły go od trądu. Nie wody Syryi, — ale wody Palestyny wybrał Bóg dla uleczenia jego. W historyi Nowego Testamentu czytamy znowu, że cień Świętego Piotra, padając na chorych, przywracał im zdrowie. Tej własności cudownej ani cienie Apostołów innych, ani też innych ludzi nie miały.

Bóg, gdzie chce, tam swoją moc i łaskę tchnie.

Nie potrzeba więc było nawet zachęty Kościoła, by wierni spieszyli do miejsca tych, w których Bóg obficie łaski swe rozsiewa. Jeżeli dla uleczenia ciała ludzie światowi podejmują pełne trudów podróże do słynnych doktorów, cieplejszych i zdrowszych krajów, lub stron obdarzonych wodami leczniczą moc mającemi, to cóż dziwnego, że ludzie obdarzeni żywą wiarą w Boga, we wszystkich potrzebach duszy i ciała do Niego, jako jedynego i najwyższego lekarza się uciekają? Chęć pozyskania łask, w miejscach cudami wsławionych, była i jest główną pobudką wiernych do odprawiania pobożnych pielgrzymek.

Uzyskana łaska nakazuje człowiekowi być wdzięcznym Dobroczyńcy. Nawiązuje między człowiekiem a Bogiem stosunek dłużnika do swego wierzyciela. A ponieważ na tej ziemi tylko miłością i ofiarą z całej swej istoty złożoną człowiek może Bogu swą wdzięczność okazać, przeto człowiek-dłużnik tęskni do miejsca świętego, i nie zwracając uwagi na trudy podróży, śpieszy, gdzie mu Bóg dał uczuć swą łaskawość i dobroć. Człowiek, obdarzony czułem i miłującem sercem, mówi pewien mąż świętobliwy, tęskni za przyjaciółmi i dobroczyńcami swemi, jeśli ich samych widzieć nie może, odwiedza miejsca, w których oni swe ślady zostawili.

Gdy więc stanie człowiek na miejscu cudami wsławionem, serce jego taje pod wpływem tej wielkiej dobroci Boga, która się przejawia w łaskach świadczonych nędzarzom. Moc i potęga nadzwyczajna, których objawy dopatrzy w cudach, przerażają go. Wobec wielkości Tego, Któremu i niemoce i złe duchy posłusznymi się stają — poznaje swą nicość i zwruszony do skruchy się pobudza za błędy życia ubiegłego. Z łatwością dokonywa się na miejscu świętem odrodzenie z grzechu ku cnocie. Niewygody, trudy i niebezpieczeństwa uczynią zadość Bogu za grzechy dawne, i uproszą pielgrzymowi łaskę do dobrego życia w przyszłości.

Tym sposobem pielgrzymki są publicznem wyznaniem wiary, bo publicznie składają hołd potędze Boga, jak się w różnych miejscach przez cuda objawia.

Te przyczyny wystarczyły dla Kościoła Swiętego, aby pielgrzymki otaczał po wszystkie czasy swoją opieką, chłodniejszych do nich zachęcał, i od najdawniejszych czasów je uprawnił, oraz wielkiemi łaskami i przywilejami obdarzał.

Taki mają początek i na takich gruntownych podstawach opierają się nasze kompanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Do Wniebowziętej...

Snop ziela niesiem pod Twe stopy święte,
Błogosławiona bolejących Matko,
O, Ty Najczystsza, o, Ty Wniebowzięta,
Nad wszystkich Święta!..

Zostawiasz nam dziś wieniec róż po Sobie,
A my dziś stoim przy pustym Twym grobie

Więc snop Ci niesiem dziś z polnego ziela...
Przyjmij go od nas, od Twojego ludu,
Co o Twą pieczę, o duszy wesele
Do stóp się ściele.

O! Matko, zlituj się nad światem,
Ukój ból w sercach, módl się za grzesznymi,
Boś Ty nam gwiazdą, westchnień naszych kwiatem,
Życiem i światem!

Elwira Korotyńska.

